



№ 399.

Prenumerata w Warszawie:
Rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół

Warszawa, 18 maja 1867 r.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:
Rocznie rs. 12, półrocznie rs. 6, kwartalnie rs. 3.
Koperta oddzielna rs. 2 rocznie.

TOM XV.

• TREŚĆ NUMERU. Wuk Stefanowicz Karadzicz (z drzeworytu). — Kronika tygodniowa. — Jadwiga odprysięgająca potwarzrzuconą na nią przez Gniewosza z Dalewic (drzeworyt). — Przegląd malarski. — Wystawa międzynarodowa w Paryżu (drzeworyt). — Korespondencya Tygodnika Ilustrowanego. — Szkice z życia warszawskiego (drzeworyt). — Szachy. — Rebus. — Przegląd piśmienniczy. — Kronika zagraniczna (dokończenie). — Ze świata muzycznego. — Życie za życie (powieść pani Waleryi Morzkowskiej), dalszy ciąg. — Przegląd polityki zagranicznej.

Wuk Stefanowicz Karadzicz.

Wspomnienie pośmiertne.

Napisal s. p. Roman Zmorski.

Trzy lata niedawno upłynęły, jak cały świat naukowy, zwłaszcza zaś w znakomitości literackiej tak dotąd jeszcze ubogi naród serbski, dotkliwą poniosły stratę. Dnia 8 lutego 1864 roku zakończył w Wiedniu życie Nestor serbskiego piśmiennictwa, jego wskrzesiciel, kierownik i niezmordowany pracownik, jedyna wreszcie jego, jak dotychczas, chwała, Wuk Stefanowicz Karadzicz. Niezmierna usługa, jaką nietylko narodowi swemu, ale i powszechnej sprawie literatury oddał zebraniem i ogłoszeniem ludowych pieśni serbskich, przelożonych następnie na wszystkie wykształcone języki, uczyniła imię jego znanym i szanowanym w całej uczoniej Europie. To też kiedy blisko osiemdziesięcioletni starzec zamknął do snu wiecznego znużone oczy, czasopisarstwo nietylko pobratymczych słowiańskich ludów, ale i wszystkich znakomitszych europejskich języków, pospieszyło z zarysami niepospolitych zasług i życia zmarłego. W naszym tylko czasopiśmiarstwie, o ile mi przynajmniej wiadomo, śmierć Wuka nie wywołała podobno żadnego obszerniejszego wspomnienia, co w piśmiennictwie słowiańskiego narodu zawsze za wymagający zapełnienia niedostatek uważać się godzi. Do zapełnienia wspomnionego niedostatku obojętnie z dwóch względów niejako obowiązany się czuję: raz, że poświęcając się szczególnie poznaniu języków i literatur południowo-słowiańskich, więcej może niż ktokolwiek z rodaków korzystałem z prac Wuka; powtóre, że w krótkich chwilach, w jakich obojętnie los nas z sobą zbliżył, cieszyłem się przyjazną życzliwością zacnego starca, którego niepospolita, interesująca i szlachetna postać głęboko w skutku tych zetknięć zarysowała się w pamięci mojej.

Wuk Stefanowicz Karadzicz urodził się 6 listopada 1787 r., w chacie niezamożnego ojca, chłopca we wsi Terszicy, w teraźniejszym księstwie serbskim, wśród górzystej i dzikiej nad granicą bośniacką okolicy położonej. Jest to właśnie strona, w której narodowe podania, wyobrażenia, zwyczaje i pieśni w najżywotniejszej przechowały się sile, i tutaj to, u domowego ogniska przysłuchując się opowiadaniom i pieśniom tak domowników jak i wędrownych guślarzy, Wuk już dziecięcim powziął to ich gorące zamiłowanie, które potem miało nadać kierunek całemu życiu jego. Rodzina Wuka wcześniej miała zauważyć sposobność, że chłopiec cokolwiek zasłyszał, z rzadką wiernością zachowywał w pamięci i nieraz ku powszechnemu zadziwieniu recytował z niezwykłą dokładnością ustępy

całe pieśni, w obecności jego raz ledwie przez kogoś śpiewanych. Ten znak umysłowych zdolności dziecięcia podał rodzicom myśl wychowania go na księdza, co było podówczas jedynym dla inteligentniejszych poddanych chrześcijańskich otwartym zawodem. Jeden z pokrewnych, Jefta Sawicz, podjął się dać Wukowi pierwsze wiedzy początki, ucząc go czytać i pisać cerkiewnym językiem. Gdy zaś niecierpliwa chciwość ucznia wprędce pochłonęła cały zapas wykształcenia nauczyciela, oddano go do pobliskiego monasteru Ternosza, a potem do monasteru w Loznicy. Jakkolwiek jednak skromne były wydatki, których utrzymanie ucznia w klasztorach



WUK STEFANOWICZ KARADZICZ. (Podług portretu nadesłanego nam z Belgradu).

tych wymagało, uboga rodzina niedługo podołać im mogła, i biedny Wuk z bólem serca musiał opuścić naukę, ażeby pracą rąk własnych przyłożyć się do podniesienia bytu swój rodziny.

Gdy ani wiek, ani siły jego nie okazały się jeszcze dostateczne do żadnego cięższego zajęcia, w podziale przypadł mu tymczasem patryarchalny urząd pasterza domowego dobytku, z którym dni całe spędzał samotnie, po oddalonych koczując pastwiskach. W wycieczki te, dla zapełnienia tyłu nudnych godzin, brał ze sobą jedyny literacki skarb rodziny, jakąś starą książkę, oprócz modlitw i t. p. znaczny także zbiór pobożnych pieśni w sobie zawierającą. Gdy jednak po sto razy od deski do deski wyczytana

księga w końcu ani nauki, ani zajęcia już mu dać nie mogła, wpadł na myśl szukania go w spisaniu zasłyszanych i zapamiętanych ludowych pieśni. Kilka arkuszy papieru, pióro kozikiem zaciosane i z sadzy własnoręcznie sporządzone czernidło (boć atramentem nazwać tego surogatu niepodobna), otóż cały przybór, z którym przyszyły słynny zbieracz pierwszą swą pracę rozpoczął. Zaiste, dziwnyż to i w najwyższym stopniu oryginalny widok przedstawiał wśród tej dzikiej przyrody, wśród gór groźnie się piętrzących, ten młody wyrostek, z piórem w ręku i papierem na kolanie, na kamieniu gdzieś siedzący i wśród szumu lasów i potoków, wśród krzyku orłów nad szczytami krążących, zagłębiał spokojnie w swą pracę, jak gdyby najwygodniej zasiadał gdzieś przy biurku w ustronnej literackiej pracowni! W tak niedogodnych warunkach praca naturalnie ciężko iść musiała; ale gorliwość spisującego, jak każda szczerą, dobra wola, zatryumfowała w końcu nad zewnętrznymi przeszkodami. Niezadługo wszystkie znane sobie pieśni spisawszy, Wuk począł się oglądać za nowymi, i wstępujący pod dach ojca jego guślarze musieli się odpłacać za doznaną gościnność dyktowaniem nieznanym mu utworów. Zbiór Wuka rósł pospiesznie, a z nim radość, duma i gorliwość jego.

Ale to ciche literackie zajęcia z początkiem 1804 roku przerwanym nagle zostało ważnym dziejowym wypadkiem. Wydane przez Czarnego-Jerzego hasło znalazło echo nad Driną i cała męzka ludność pospieszyła gromadzić się pod wodzą znanych z energii i przezorności rodaków. Młody Wuk nie pozostał za innymi i porzuciwszy pasterski swój kij wraz z pracą zbieracza, pospieszył w charakterze sekretarza przy wojewodzie Cziurezi w pole przeciw Turkom.

Początkowo, jak w tyłu okolicach Serbii, tak i w okolicy Wuka, powstanie szczęśliwym cieszyło się powodzeniem; następnie jednak wkraczający z Bośnią z liczną armią Beczirbasza zgniół wszelki opór nielicznej ludności. Zagroda w której Wuk wziął życie, stała się pastwą płomieni, a on ujrzał się zmuszonym szukać przytułku u rodaków pod panowaniem austriackim zostających. Tu, pragnąc smutny czas wygnania obrócić na korzyść swego wykształcenia, pospieszył do rezydencji patriarchy serbskiego, Karłowiec, gdzie istniejące seminaryum i szkoły serbskie obiecywały mu pożądaną naukę. Ale niestety! pokazało się że praca Wuka nie wystarczała dotąd jeszcze, ażeby dziewiętnastoletni chłopiec choćby najniższej klasy mógł zostać uczniem. Żywiąc się więc łaskawie sobie przez duchowieństwo udzielanym kawałkiem chleba, ubocznie tylko i dorywczo mógł korzystać ze światła nauczycieli karłowackich, o ile dobra ich wola w pomoc chęciom biednego samouka przyjść chciała.

I ta wszakże mizerna nauka niedługo trwała. Walka w Serbii, która przez jakiś czas przygasać się zdała, z nową wybuchnęła siłą. Okolice Wuka znowu zabrzmiały szcękami oręża i nasz samouk pospieszył w rodzinne strony, gdzie jako sekretarz przy wojewodzie Jakubie Nenadowiczu dzielił trudy jego i niebezpieczeństwa.

Po wzięciu w końcu 1806 roku Belgradu przez Serbów, w mieście tym zawiązana została rada narodowa, tak zwany *sowiet*, w której obok innych zajęł także miejsce ów Jefta Sawicz, krewny i pierwszy nauczyciel Wuka. Jego zapewne protekcyi zawdzięczał ten ostatni powołanie na ważną i zaszczytną posadę sekretarza rady. Gdyby za tym gonił, byłby miał teraz otwartą przed sobą do wyniesienia się drogę, nie potrzebując troszczyć się już o dopełnienie wielce problematycznych wiadomości swoich. Lecz Wuk zanadto szczerze kochał naukę, aby go zadowolić mogły jej okrucy które mu dotychczas w ręce wpadły. To też, gdy z początkiem 1808 roku przybył z Austrii Jupowicz otworzył w Belgradzie pierwszą serbską szkołę, młody sekretarz narodowej rady pospieszył złożyć swój urząd i zasiąść z zakami na szkolnej ławie.

Niestety jednak i tym razem gorąca jego żądza nauki bez zaspokojenia pozostać miała. Zbytne natężenie sił, przy niezbyt mocnym zdrowiu, rzuciło go na łożo, z którego dopiero po długiej i ciężkiej chorobie powstać zdołał. Dla zupełnego do zdrowia powrotu, lekarz zakazał mu przedewszystkiem na czas długi wszelkiego władz umysłowych natężenia, i wtedy to Wuk, zmuszony zrzec się najmilszych marzeń swoich, powtórnie wstąpił do służby publicznej, najprzód jako urzędnik na komorze celnej w Kladowie, następnie jako komisarz rady narodowej w Negotinie. W 1813 roku Czarny-Jerzy wysłał go jako swego pełnomocnika, celem załatwienia niektórych interesów z widińskim paszą, po powrocie z której to misyi, Wuk objął naczelnictwo okręgu Berza-Palanka nad Dunajem. Urzędowanie to wszakże bardzo krótko trwało. Nowe najście Serbii przez Turków i ucieczka za granicę Czarnego-Jerzego, położyły koniec niepodległości serbskiej, i Wuk, porówny z mnóstwem swych rodaków, zmuszonym został poraz drugi szukać schronienia w austriackich dzierżawach.

Przybywszy do Wiednia w końcu 1813 roku, z młami bardzo utrzymania środkami, a bez żadnych w ogromnym tym mieście stosunków, Wuk znalazł tu szczęściem prawdziwego przyjaciela, opiekuna, a zarazem nauczyciela jakiego potrzebował, w osobie uczonego Kopitara, umieszczonego jako skryptor przy głównej cesarskiej bibliotece. Kopitar, sam z ludu wyszły i na badaniu go studia swe opierający, ocenił doskonale zdolności serbskiego samouka, całą wartość wiedzy rzeczy ludowych, którą ten sobie własną pracą przyswoił, i wskazał mu kierunek, w którym najużyteczniej narodowi swemu mógł służyć. Pod jego światłem przewodnictwem Wuk, posiadający praktycznie całe bogactwo ludowego języka serbskiego, w różnych jego narzeczach i odcieniach, począł wnikać w ducha swój ojczystej mowy i pojmować prawa, według których ona się wyrobiła. Skutkiem najbliższym tych studyów była pierwsza prawdziwie serbska, choć oczywiście bardzo jeszcze niedokładna gramatyka pod tytułem: „*Pismenica serbskogo jezika*“ w 1814 r. ogłoszona. W tymże roku wydał także Wuk pierwszy swój zbiorek narodowych pieśni pod tytułem: „*Mala prstonarodna slaweno-serbska piesmarica*“ dość szcuplej tomik, niewielką ilość tak żeńskich jak i męzkich pieśni obejmujący. W rok czasu po tym pierwszym, pojawił się drugi *Piesmaricy* tomik; poczem Wuk poświęcił się cały ułożeniu serbskiego słownika. Była to praca olbrzymia, do której, prócz własnej pracy, na wszelkiej niemal zbywało mu pomocy; niezmordowanemu przeciw jego zapałowi i żelaznej woli udało się i z tej trudności wyjść zwycięzko w niezbyt długim czasie. Już w roku 1818, a więc po niespełna trzech latach pracy, opuścił prasę jego słownik, pod niemieckim tytułem: „*Serbisch-deutsch-lateinisches Wörterbuch*, z górą 26,000 wyrazów obejmujący.

Tak liczne dowody pracowitości i zdolności wpędce po sobie następujące, zyskiwały Wukowi coraz to szerszą wziętość i uznanie, tudzież przychylnych przyjaciół w kole słowiańskich i niemieckich, w Wiedniu przebywających, uczonych. Dzięki ich życz-

liwej pomocy i skromnym z prac swoich korzyściom, wkrótce po wygotowaniu słownika znalazł się w możności przedsięwzięcia podróży do Rosyi, która znacznie rozszerzyła zakres jego wiedzy i pojęć, a w ciągu której ze strony uczonych w Petersburgu i w Moskwie, równie jak w Charkowie i Kijowie, najpoehlebniejszym cieszył się przyjęciem.

Ale podczas gdy pomiędzy obcymi zyskiwał codzien poważniejsze stanowisko i szacunek, podczas gdy z drugiej strony uradowana zjawieniem się jego *Piesmaricy* ludność południowo-słowiańska rozzerwała w przeciagu lat kilku oba jej tomy, w szcuplem kółku pseudo-literatów i pseudo-uczonych serbskich warzył się dlań jad niechęci i zawiści. Ażeby to dziwne zjawisko zrozumianem być mogło, wypada tu nadmienić, jakim było piśmiennictwo serbskie do czasów Wuka.

Przed upadkiem niepodległości serbskiej piśmiennictwo w tym kraju wcale jeszcze nie istniało; o ile zaś coś pisano, czynili to niemal wyłącznie mnisi albo popi. Tym, obznajmionym z językiem cerkiewnym, łatwiej oczywiście było posługiwać się jego wyrobionymi już formami, niżeli takowe wyszukiwać i wyrabiać z żywego ludowego języka. Język więc serbski, którym pisali, tak był przepelnionym wyrażeniami i zwrotami cerkiewnego języka, że wprawdzie stawał się zrozumiałym dla osób oba języki znających, ale wcale nie lub mało dostępnym dla ludu. Raz za język literacki poczytana, niesmaczna ta mieszanina utrzymała się jako taki pomiędzy Serbami na ziemi węgierskiej osiadłymi, i w niej to wychodziły nieliczne wydawane przez nich na nowych siedzibach dzieła. Usiłowania go-dnego poprzednika Wuka, Dositeja Obradowicza, ażeby żywy język narodu piśmiennym uczynić, spełzły ze śmiercią jego bezowocnie, tak że w chwili gdy Karadzic działalność swą rozpoczynał, garść pismaków bez wszelkiej wyższej zdolności, po staremu mieszaniną cerkiewno-serbską gryzmołających, uważała się za jedynych prawowitych przedstawicieli piśmiennosci serbskiej. Niedziw więc że dążenie jakiegos tam samouka do wprowadzenia w literackie użycie mowy ludowej, którą żaden z nich pisać nie umiał, było w ich oczach niesłychanie zuchwałym, bo na ich powagę i stanowisko wymierzonym zamachem. Gdy zaś Wuk, nie znajdując ani w cerkiewnym, ani w powstałym z tegoż rosyjskim alfabecie dostatecznego środka wyrażenia wszystkich języka serbskiego dźwięków, uznał za właściwe wprowadzić do swego prawopisu kilka nowych znaków, w liczbie których pożyczoną z łacińskiego *jote*, przeciwnicy jego w tej ortograficznej reformie nie tylko już zamach na język ojczysty, ale nawet na prawowierność narodu widzieć chcieli. Że zaś po ukonstytuowaniu serbskiego księstwa wszyscy ci mniemani uczeni pospieszyli starać się u Miłosza o urzędy i takowe w braku wykształceńszych ludzi pozajmowali, Wuk więc za przybyciem do ojczyzny w 1820 roku natrafił już na najzupełniej zorganizowaną przeciw sobie opozycyą. To też kiedy wezwany przez księcia ażeby wziął udział w organizacji elementarnych szkółek, przedstawił projekt nauczania według metody Lankastra, cała partya starowierców literackich, w połączeniu z duchowieństwem, podniosła tak gwałtowny krzyk przeciw bezbożności jego systemu, że miłującemu pokój Karadzicowi nic nie pozostało, jak opuścić kraj rodzinny i wrócić do cichego w Wiedniu kątku.

Lecz i tu już tymczasem chmury zgromadziły się nad jego głową. Ogłoszone przez niego bohaterkie pieśni, połączone z wypadkami w Serbii, silnie rozbudziły pomiędzy południowo-słowiańskimi mieszkańcami Austrii uczucie narodowe. Władze rakuzkie poczęły spoglądać na Wuka, jako na niebezpiecznego politycznego agitatora, i kiedy wskutek wyczerpania pierwszego nakładu *Piesmaricy*, wystąpił z zamiarem drugiej, prawie w dwójnasób pomnożonej edycyi, cenzura wiedeńska położyła swoje absolutne *velo*.

Następstwem tego zakazu było udanie się Wuka do Lipska, gdzie zamierzone zbioru swego wydanie w ciągu lat 1823 i 24 u Breitkopfa i Härtla, w trzech tomach, do skutku doprowadził. Czasu jaki mu od doglądania druku zbywał, używał na wycieczki do Berlina, Getyngi, Weimaru, Halli, Jeny, dla zawiązania stosunków z autorami i uczonymi w miastach tych mieszkającymi. Najbliższy i najserdeczniejszy stosunek łączył go z Jakubem Grimmem,

z którym już w 1815 roku w Wiedniu się poznał, i który już podówczas ogłoszoną w wiedeńskiej Gazecie literackiej recenzją starał się zwrócić uwagę uczonego świata na ważność Wukowego zbioru. Teraz, po wyjściu drugiego wydania *Piesmaricy*, młody Grimm skłonił swego ojca, którego zdanie powszechną w naukowym świecie miało powagę, do podniesienia w obszerniej rozprawie wysokiej wartości serbskich pieśni w dziejach powszechnej literatury i kultury europejskiej. Zachęcona tym wymownym poleceniem utalentowana autorka Teresa Jacob, dokonała z pomocą samego Wuka udatnego ich i sumiennego przekładu, który pod pseudonymem Talvi, w dwóch tomach, w 1825 i 26 roku ogłosiła. Właściwie ten dopiero przekład rozniósł sławę narodowej poezyi serbskiej po całym świecie i z niego to następnie niemal wyłącznie czerpali uczeni i pisarze w innych językach europejskich proo tej poezyi podający, lub o niej się rozpisujący.

Syt sławy i powodzenia, powrócił Wuk z swęj paroletniej wycieczki do Wiednia. Tu jednakże przekonać się musiał o prawdzie tego zdania, że niezacmione niczem szczęście nie jest człowieka udziałem: wytoczono mu proces o to, że za granicą śmiał drukować swój rękopis. Szczęściem przecież burza ta przeminęła nad głową jego bez szkody i nie zdołała zakłócić na seryo zadowolenia, jakie mu powodzenie prac jego słusznie sprawiło.

Daleko rzeczywistsza przykrość spotkała go wkrótce potem ze strony angielskiego Towarzystwa biblijnego. Jeszcze za bytności Wuka w Petersburgu w 1819 roku, pełnomocnik tameczny Towarzystwa wezwał go o wygotowanie serbskiego przekładu nowego zakonu. Teraz przecież, kiedy ciężka ta praca dokonana już została, Towarzystwo, zaintrygowane przez niejakiego Stojkowicza, Serba w Petersburgu zamieszkałego, odrzuciło przekład Karadzicza, a natomiast przyjęło lichy, przez rzezczonego Stojkowicza zgotowany. Wuk, dla dania próby swego odrzuconego tłumaczenia, wydrukował niektóre jego ustępy własnym nakładem, co było dostatecznym, ażeby każdy ze znających się na rzeczy ocenił całą wielkość błędu przez Towarzystwo angielskie popełnionego. Za czasem też pokrzywdzony obecnie tłumacz otrzymał satysfakcyą, że toż samo Towarzystwo przekład jego nabyło i kosztem swoim wydało (1).

W roku 1828 Wuk wezwany został przez Miłosza, ażeby jako doświadczony znawca wyobrażeń, tradycyj, zwyczajów i przesądów narodowych, zajął miejsce w komisji księgi praw dla kraju wygotować mającej. Oddawszy przez ciąg trwania téjże komisyi znakomite usługi, po ukończeniu jej działań otrzymał w 1830 roku ważną posadę prezydenta miasta Belgradu. Prostoty atoli i miłujący spokój Karadzic uznał wkrótce niemożliwym sprawowanie poruczonego mu urzędu. Zażądawszy dymisyi, gdy ksiązę mu takowej odmówił, a nawet okazywał ochotę przytrzymania go gwałtem na urzędzie, opuścił ku schyłkowi 1831 roku skrycie wraz z rodziną Belgrad, udając się na brzeg austriacki, do Zemunia czyli Semlina. Rozgnięwany Miłosz wysłał w trop za nim despesze, domagającą się ażeby pobytu jego nad granicą serbską nie dopuszczano; ze swojej zaś strony władze austriackie, krzywo nań patrzące, nie dozwalały mu dalszej w głąb Austrii podróży. Położenie więc biędnego Wuka, internowanego w Zemuniu, wcale nie było miłym i snadnie przykrzejszym jeszcze stać się mogło. Szczęściem uczonym jego przyjaciołom w Wiedniu udało się przekonać wyższe władze o całej niewłaściwości prześladowania człowieka literackim zajęciom wyłącznie poświęconego, skutkiem czego otrzymał nareszcie pozwolenie swobodnego, gdzie mu się podoba, w Austrii zamieszkania.

(Dokończenie nastąpi).

Kronika tygodniowa.

Należy nam się załatwić z korespondencyami, które od pewnego czasu zapełniają tekę naszą kro-

(1) Pierwsze wydanie téj ważnej pracy pod tytułem: „*Nowi zawiet Gospoda naszego Isusa Krista*“, nastąpiło w 1847 roku; poczem kilka jeszcze wydań zrobiono.

nikarską. Oto pierwsza, dotykająca starej wprawdzie bardzo, ale wygodę publiczną zbliżka obchodzącej kwestyi.

„Ludność w naszym mieście zwiększa się z dniem każdym, a i Warszawa sama rozszerza się stosunkowo, nie w ścisłym wprawdzie znaczeniu tego wyrazu, bo obręb okopów miejskich pozostał tymże samym od lat kilkudziesięciu, ale ulice odleglejsze od tak zwanego środka miasta, które dawniej zaledwie zabudowane były, dzisiaj zaludniają się i ożywają coraz większym ruchem. Otóż pomimo zaprowadzenia przed kilku latami omnibusów zwyczajnych, a świeżo jeszcze omnibusów chodzących po kolejach żelaznych, komunikacja w mieście coraz bardziej jest utrudnioną. Prawdziwie trudno się domyśleć co znaczą na bruku warszawskim dorożki i do czego służą. Nie mówimy już o tyle razy wytykanem zaniedbaniu tych powozów do wygod publicznej przeznaczonych, ani o niestosownym zachowywaniu się powożących, które, zwłaszcza z kobietami, przechodzi wszelką miarę; ale na to się każdy zgodzi, że w razie potrzeby niepodobna prawie dostać dorożki i można kilka ulic zbiedz piechotą, zanim się która natrafi. Istnieją podobno oznaczone dla wypoczynku ich stacye, ale te stacye, oprócz placu teatralnego, gdzie arystokracja dorożkarska niedostępną jest dla zwykłej publiczności, stoją zawsze pustkami i można tam godziny całe wyczekiwać, zanim się pojawi dorożka w przypadkowym przejeździe. Wieczorem, po godzinie dziesiątej zwłaszcza, a témbardziej przy niepogodzie, dorożkarza doprosić się niepodobna: każdy z nich ma konie zmęczone i wraca do domu, omnibusy zaś, po kilku tylko uprzywilejowanych liniach kursując, nie przez wszystkich użytymi być mogą. Nowozaprowadzone karétki, z powodu ceny samowolnie przez powożących nakładanej, jeszcze nieprzystępniejszemi są od dorożek, i zdawałoby się iż te wszystkie powozy do najęcia, ustanowione zostały tylko dla wygody marnotrawników, którzy suto opłacają półgodzinną przejażdżkę, dla strawności odbytą. Ale rzeczywista publiczność, ludzie pracujący, zajęci interesami i potrzebujący właśnie ułatwienia komunikacji, ale kobiety, dla których, przy niepogodzie zwłaszcza, utrudniona jest podróż na bruku warszawskim, muszą obywać się bez ułatwień powozowych, które przecież dla wszystkich bez wyjątku powinnyby służyć.

„Niewiadomo nam czy od pewnego czasu liczba dorożek zmniejszyła się w Warszawie, bo wszakże ceny za kurs pojedynczy i za godzinę jazdy dosyć są wysokie. Znamy nawet kilku właścicieli powozów do najęcia, którzy porobili majątki na swoim procederze. Widocznie wina tu cięży na woźnicach, którzy przyzwyczajeni do zysków nieprawych, swoje tylko korzyści mają na celu, o dobro właściciela dorożki mniej dbając. Trochę także winy spada na publiczność, głównie na tych, co dla przedziej jazdy przepłacają dorożkarzy, i na ogóle także, proponowane bowiem po kilka razy odbieranie kartek kontrolnych nigdy nie mogło dojść do skutku, i jeszcze niedawno właściciel karétek jednokonných skarżył się w Kuryerze, iż tego sposobu kontrolowania swoich ludzi musi zaniechać, z powodu niemożności przeprowadzenia go z publicznością warszawską. Złemu jednak trzeba koniecznie zaradzić, coraz dotkliwiej bowiem czuć się ono daje. Należałoby ponownie w pismach publicznych ogłosić stacye na których dorożkarze stawać są obowiązani i zmusić ich do pilnowania się tych stacyj, zamiast zgromadzania się w jeden punkt, w nadziei większych zysków. Trzebaby także podzielić panów dorożkarzy na dziennych i nocnych, żeby publiczność wieczorem powracająca z przechadzek albo z odwiedzin, mogła także korzystać z tego ułatwienia, i jeszcze raz poprobować czyby oddawanie kartek kontrolnych nie mogło się jako u nas przyswoić, zachęcając publiczność do pilnowania się tego regulaminu loteryą, nakształt berlińskiej, miesięcznie urządzaną. A przytém, i to za najważniejsze uważam, wartoby ponownie ogłosić zakaz szybkiej jazdy po ulicach, bo nie licząc już wypadków jakich takie nieogledne powożenie może się stać powodem, popędzanie i niszczenie koni ze szkodą ich właścicieli jest główną przyczyną zepsucia dorożkarzy, polujących na naddatki.

„Wszystkie te środki z łatwością dałyby się zaprowadzić, a może zaradziłyby one złemu, właści-

ciela zaś dorożek, znajdując korzyść przy lepij i dokładniej urządzonej kontroli, może pomysleliby o pomnożeniu liczby tych powozów, która dotychczas wydaje się niedostateczną na tak ludne jak Warszawa miasto.“

Pan Szymon Winawer, którego zadania szachowe umieszczane w Tygodniku słusznie cenione są przez znawców i lubowników tej gry, wyjechał niedawno do Paryża, na kongres szachistów przy wystawie Powszechniej urządzonej. Otóż z listu od niego otrzymanego dowiadujemy się, że na członków kongresu zapisało się wiele znakomitości europejskich, a nawet członkowie rodzin panujących, którzy sami mają tam zjechać dla odgrywania partyj. Po między najznakomitszymi szachistami europejskimi znajduje się obecnie dwóch Polaków, pp. Maczusi i Rosenthal, obydwaj uważani za graczy pierwszjej siły, a ostatni otrzymał nominacją na jednego z trzech sędziów do rozstrzygania zadań szachowych. Pan Rosenthal używa w Paryżu sławy znakomitego i bardzo uczonego szachisty i udziela tam mnóstwo lekcyj szachowych, pomiędzy innymi księciu Napoleonowi i księciu brunswickiemu, którzy należą do wielkich lubowników tej gry. Zysk z tych lekcyj osiągnięty, jak również z partyj które dla honoru pragną z panem Rosentalem grywać różne znakomite osoby, zapewnia mu bardzo przyzwoite utrzymanie. Z Warszawy spodziewano się trzech graczy, a pan Winawer, jako znany już z reputacyi, znalazł u szachistów paryżkich bardzo uprzejme przyjęcie. Dotychczas grał on jedną partyją z panem Loyde, pierwszorzędnym szachistą europejskim, i uzyskawszy nad nim zwycięstwo, otrzymał kilka wyzwań, które w tych dniach rozstrzygać się mają. Właściwy jednak termin rozpoczęcia kongresu szachowego odłożony został na miesiąc, z powodu niestawienia się dotychczas dostatecznej liczby członków, z których wielu, i to najważniejszych, jest jeszcze oczekiwanych. Niewiadomo dotychczas czy sławny amerykański Morphy stawi się do walki, to jednak pewna, że tym razem znalazłby godnych siebie przeciwników, bo nawet pan Maczusi, odgrywając naraz dziesięć partyj na pamięć, (o czém Tygodnik Ilustrowany donosił w swoim czasie) dorównał zupełnie amerykańskiemu szachiście. Pan Winawer zamierza wraz z innymi wystąpić do walki o wielką nagrodę szachową i z serca życzymy mu zwycięstwa. W każdym razie nie omisszamy zawiadomić lubowników gry szachowej o dalszym przebiegu tej ciekawej dla nich sprawy, mamy bowiem przyręczone dokładne korespondencye, w których nawet najbardziej zajmujące partye będą notowane.

W każdym żarcie jest pół prawdy, a wyrazy te można zastosować do Kurjera Świątecznego, który nieraz pod żartobliwą powłoką dowcipnie karci różne zbroczenia społeczne. Redakcyja jednak tego pisma, dość już rozpowszechnionego u nas, tém większy ma obowiązek baczenia, ażeby przez nieogledne odezwanie się nie naprowadzać na fałszywe drogi opinii publicznej. Z powodu świeżo przedstawionej u nas sztuki Fredry (syna) „Piosnka wujaszka“ umieszczono w ostatnim Kuryerze Świątecznym zestawienie ostrych nagan jakie spotkały tę sztukę ze strony miejscowych recenzentów, z niesłusznymi krytykami które na Fredrę (ojca) przy pierwszym pojawieniu się sztuk jego na naszej scenie wymierzały ówczesne warszawskie pisma. Kurjer Świąteczny stał się w tym razie tylko organem wielolicznych zdań jakie tu i owdzie dały się już słyszeć. Ale porównania niema tu i być nie może. Niepodobna zestawiać razem Piosnki Wujaszka i Geldhaba, bo zakres, forma, cel, sam rodzaj pisania, a nawet i talent pisarski rzucają pomiędzy dwa te utwory ogromną przestrzeń. Piosnka wujaszka w żadnym razie nie ma prawa do nazwy komedyi, i jako taka uważaną być nie może; krytyka słusznie wypowiedziała o niej słowa nagany, przy obecnych bowiem wymaganiach i stanie dramatycznej sztuki u nas, utwory tego rodzaju szkodliwy tylko wpływ wyrzucić mogą, sprowadzając sztukę na fałszywe tory. Słusznie odezwał się jeden z recenzentów, że woli już w najgorszym razie tłumaczone tego rodzaju sztuki, aniżeli oryginalne, wina bowiem za spacje-

nie gustu publiczności, nie na miejscowym wtedy autorze cięży. Wprawdzie każdy rodzaj jest dozwolony i można się w nim odznaczyć, ale bywają okoliczności w których autor, obdarzony odpowiednimi zdolnościami, winien dobrze obmyśleć kierunek jaki im nadać zechce i rozmierzyć odpowiedzialność która na niego spada. Śmiało powiedzieć można, że tak publiczność jak i recenzenci u nas sympatycznie usposobieni byli do przyjęcia pierwszjej pracy syna autora, którego nazwisko na polu dramatycznym zdawna wysoką czią otaczamy; ale wybór tej pierwszjej pracy (niezależny zapewne od niego) był conajmniej niestosowny, i przeciw temu też wyborowi odezwały się ogólne protestacye. Pierwsze prace Fredry ojca potępiła u nas stronnictwo, które nawet utworom Mickiewicza nie chciało oddać należnej sprawiedliwości, tutaj zaś niema stronnictwa, ale cały ogół jednym głosem zganił utwór bez żadnej moralnej doniosłości, odznaczający się tylko pseudo-dowcipem, często dwuznacznym i rażącym, a uczynił to pomimo wyborniej gry artystów, którzy z całą usilnością pragnęli podnieść sztukę. Jeżeli się nie mylimy, recenzenci lwowscy i krakowscy tenże sam prawie sąd, chociaż ogledniej trochę, o Piosnce wujaszka wydali. Nie odmawiamy autorowi zdolności pisarskich, które w zbroczeniach nawet jego widnieją, pragnęlibyśmy tylko widzieć te zdolności w lepszy sposób użyte, témbardziej że istnieją już sztuki Fredry (syna), które daleko właściwiej od Piosnki wujaszka mogłyby znaleźć miejsce na scenie naszej i doznałyby od krytyki tutejszjej nierównie sympatyczniejszego przyjęcia.

O muzycznym poranku, danym w zeszlą niedzielę na korzyść pana Chęcińskiego w sali resursy Obywatelskiej, doniosły już pisma publiczne, popiérając tak cel jak i środki do osiągnięcia go użyte. Winniśmy jednakże wspomnieć o wybornym wypowiedzeniu przez p. Rychtera wiersza p. Chęcińskiego: „Niema złej drogi do swojej niebogiéj“, który w ustach utalentowanego artysty zmienił się w prawdziwy dramacik, pełen różnego rodzaju wrażeń. Niewątpliwie nie jeden z będących na koncercie ani się domyślał ile w tym drobnym utworze, zapomnianym, jak wiele innych, po chwilowém wrażeniu czytania, mieści się prawdziwych piękności. Na tém właśnie zawisła sztuka deklamatora, żeby wszystkie te piękności wydobyć i uplastyczyć przed słuchaczami.

Panu Chęcińskiemu, jako zdolnemu i poprawnemu deklamatorowi, kilkakrotnie już oddaliśmy sprawiedliwość, a publiczność hucznymi oklaskami oddała cześć zasługom, jakie autor Szlachectwa duszy na polu literackim i dramatycznym położył.



Panu Henrykowi D. Korespondencya z Kaźmirza zostanie użytą przy umieszczeniu dwóch widoków tego grodu, których drzeworyty przygotowujemy.

Panu B. Ch. w Warszawie. Artykuł p. t. „Życie i wiedza“, chociaż dobrze napisany, nieodpowiedni jest dla naszego pisma.

Panu R. D. w Warszawie. „Wspomnienie pośmiertne“ wkrótce wydrukujemy, jako rzecz nader zajmującą i sympatycznie skróśloną. Autora, sądząc z tej próby, najusilniej zachęcamy do dalszjej pracy na polu piśmienniczym.

Panu A. P. w Warszawie. Rebus nie jest ułożony podług zasad w tego rodzaju łamigłówkach przyjętych.

Panu W. w Kijowie. Przekład z Freiligratha wręczyliśmy redaktorowi Wędrowca. Drugiego arkusza przy poprzednim liście pańskim nie było.

Panu Ścisławowi w Warszawie. Ważną kwestyą w liście pańskim dotkniętą, podniesiemy gdzieindziej w osobnym artykule.

Panu Konstantemu G. w Paryżu. Wiersze p. n. „Zawieźdiona“ i „Niemen“ drukowane nie będą.

Przegląd malarski.

(Dokończenie).

Gersona „Kobieta modląca się“ z wielu wzglę-
 czy. Głównie ten rodzaj malowania reprezentują u nas Hadziewicz, Antoni Kolberg i Karol Marconi. Obecnie Gerson próbuje sił swoich w tym kierunku, tylko że obrał nowy sposób, wynaleziony przez Kaulbach wiele pięknych swoich fresków dokonał sposob-
 powiedzieć; żadna wilgoć, żadna zmiana temperatury im nie szkodzi, skrobać się dadzą tylko bardzo ostre narzędziami, słowem mają trwałość mozaiki.



Królowa Jadwiga odprysigajaca potwarz rzuconą na nią przez Gniewosza z Dalewic.

Kopia obrazu olejnego J. Simmlera. (Podług fotografii wykonanej przez p. p. Dutkiewicza i Klocha). Zobacz artykuł w Nrze 391 Tygodnika Ilustrowanego.

dów zasługuje na uwagę. Freski są u nas w ogóle rzadką rzeczą; mało artystów im się poświęca, może i słusznie, gdyż, jak wiadomo, klimat wilgotny, przeważny w naszym kraju, mocno i prędko je niszczy. Fuchsa i Schlotthauera w Monachium, nazwany *stereo-*chromią, a odznaczający się nadzwyczajną trwałością. Farby nakładane na stosownie przygotowany kamień piaskowy, kamienieją wkrótce, można być stereochromicznym. Trudność takiego malowania jest wielka, z powodu niemożliwości poprawek. Trzeba mieć rękę i oko nader pewne i malować z przygotowanego kartonu, chybiłoby bowiem kolor



Wystawa międzynarodowa w Paryżu.

1. Oddział egipski. Świątynia i pałac wice-kroła. — 2. Latarnia morska. — 3. Oddział egipski. Karawanseraj. — 4. Pawilon cesarski. — 5. Ogród środkowy pałacu wystawy. — 6. Pawilon hiszpański. — 7. Oddział austriacki. — 8. Dom wiejski angielski.

nie da się zmodyfikować nałożeniem innego, z którymby się (i z podkładem mokrym) połączył chemicznie. Pragnąć należy, ażeby p. Gerson pracował dalej w tym kierunku, takie bowiem tylko freski odpowiednie są dla naszego klimatu, takimi tylko możemy ozdobić kościoły i gmachy publiczne, bez bolesnego przeczcucia krótkotrwałości. Idealne usposobienie jakim nacechowane są wszystkie utwory Gersona, pozwala mu rokować znakomite rezultaty w malarstwie, z którego, już przez sam wzgląd na technikę, realizm jest wykluczony. Osoby mniej obeznane z tego rodzaju malarstwem uprzedzamy, że na próbę obecną w sali Wystawy patrzeć należy ze znacznej odległości, chcąc otrzymać odpowiedni efekt; freski bowiem mają właściwą sobie perspektywę, światłocień i tonowanie.

„Jadwiga Jagiellonka, żona Jerzego księcia bawarskiego, uwięziona przezeń w Burghausen“ jest pierwszą, produkowaną na Wystawę pracą Władysława Gepnera. Temat to dość pospolity, w średnich wiekach bardzo często się zdarzający. Jest niezawodny efekt w przedstawieniu kobiety młodej, smutnej, pobożnej, za kratami, a z tyłu jakiejś dzięką postaci dozorczy więzienia, zbira lub zazdrosnego męża. Jak tutaj, widzimy więzienie urządzone z pewnym komfortem, i tylko ów dozorca z kluczem w ręku domyślać się go może. Obraz, wykonany z techniczną biegłością, dobrze rokującą o młodym artyście, ma tę wadę, iż bez przytoczenia kartki kroniki nie może być zrozumianym: „Jadwiga Jagiellonka w więzieniu w Burghausen, uwięziona przez męża, ale za co? spytajmy się, a wątpię czy setny zwiedzający Wystawę będzie umiał odpowiedzieć. Czy to ofiara prześladowania, czy własnej winy? Zapewne pierwsze, każdy powie przez sympatya, ale wcale nie z nabytą wiadomości; nic bowiem bardziej zaniedbanego niema w naszej historii, jak dzieje królewskich rodzin.

Nowością jest także pojawienie się na Wystawie dwóch utworów Antoniego Kolberga. „Dziewczynka z lalką“ jest śliczna; portrecik to pełen naturalności i wdzięku. „Portret Henryka Marconiego,“ robiony kródką, zaleca się rysunkiem, światłocieniem i charakterystyką. W obu tych pracach szczególnie uderza zachowanie w twarzy właściwego wyrazu i cech indywidualnych. P. Kolberg jest znakomitym portrecistą.

Dział portretów, pominawszy piękny portret kobiety pędzla Simmlera, powtórnie przybyły na Wystawę, zwiększył się zresztą tylko portretem mężczyzny, pędzla Ziemięckiego, pracą średniej wartości, i pastelą panny J. W., przedstawiającą także mężczyznę w wieku.

O „Wnętrzu kaplicy św. Stanisława w katedrze krakowskiej,“ Gryglewskiego, zapóźno nam mówić przychodzi, oddawna już bowiem obraz ten przyozdobił salę Wystawy i powszechne znalazł uznanie. Znaczne rozmiary, wyborna perspektywa, gra światła, wykonanie drobniagowe, wszystko to podnosi wartość obrazu. Zaleskiego „Wnętrze kościoła N. P. Maryi w Warszawie“ świadczy także o znakomitych zdolnościach tego artysty.

Szermentowskiego trzy rodzajowe krajobrazy, rozmiarów gabinetowych, nie budzą wielkiego interesu, ani pod względem pomysłu, ani pod względem wykonania. „Widok w Karpatach“ jest szkicem nakreślonym bez wyboru, pozbawionym prawdy natury i cech indywidualnych. „Siórotki“ które z wiązką gałązek na skraju lasu chwytają nieubłagany leśniczy, mają treść i charakterystykę ogólną, koloryt niezły, ale brak siły. Najlepszym z tych trzech utworów rodzajowych jest „Źródło,“ gdzie tak krajobraz, jak i młoda para romansująca przez płot, cechują się silną charakterystyką, prawdą wewnętrzną i wdziękiem prostoty.

Maleńkie „Krajobrazy zimowe“ Medera i Malinowskiego są próbami w tym rodzaju. Wierzę że łatwiej malować ołowianami chmurami zasnutę niebo, niż czyste, tysiącami odcieni drgające krainy światła; ale śnieg, lód mają też swoje kapryśne tony; świadkiem holenderscy pejzażyści, którzy zakochali się w zimie, tak jak innych, mniej chmurnych stron mieszkańcy w wiosnie i jej tęczy blaskach.

Szyndlera „Krajobraz,“ malowany na blasze, ma zaletę ścisłego studium miejscowości. Żaden tam szczegół nie jest obcy, dorobiony, dokomponowany; owszem, drzewa, kępy, woda, wszystko to jednolite i dlatęgo piękne.

Ruśkiewicza „Wnętrze lasu w Kieleckim“ też same ma zalety: koloryt ciepły, właściwy lasowi liściastemu w pełnym rozwinięciu.

Pozostają nam jeszcze pomówić o akwrelach, których dział znakomicie się powiększył. Oprócz wspomnianej już wyżej „Przejażdżki na polowanie“ Kossaka, mamy „Chłopczyka na koniu“ tegoż artysty i osiem akwareli Millera, przedstawiających bądź widoki z okolic Rzymu i Neapolu, bądź pojedyncze postacie, więcej, jak się zdaje, mające na celu kostiumy, niż charakterystykę osób. W ogóle prace akwarelowe Millera, są to drobnostki pomysłem i kompozycją, pełne wartości, ale nie mogące się równać z odpowiednimi utworami Kossaka, które są obrazami, w całym znaczeniu tego wyrazu. Pominąwszy poważną treść, znakomitą kompozycją, silną charakterystykę w obrazach Kossaka, jako rzeczy o których już wielokrotnie mówiliśmy, w samym nawet technicznym traktowaniu dostrzeżemy znaczną różnicę. Mianowicie u Kossaka jest przewaga rysunku, u Millera przewaga kolorytu; Millera postacie są nieco sztywne, Kossaka zawsze swobodne, pełne akcji. Za to Kossak często zaniedbuje koloryt; Miller zaś ma prawdziwy zmysł kolorów, jak to i w olejnych jego utworach widoczne. „Jego margrabia wenecki z XV-go wieku,“ „Wieśniak z okolicy Rzymu“ i t. p. są to studia kostiumów, a widoki z okolicy Rzymu i Neapolu mierny tylko interes obudzają. Kossaka „Chłopczyk na koniu“ jest wprawdzie także bagatelką, lecz ileż tam ruchu, życia, tego głównego warunku sztuki malarskiej! „Ustęp z bitwy pod Wagram“ jest już kompozycją w całym znaczeniu tego wyrazu. Zmieszwały się szeregi kawaleryjskie; każdy jeździec walczy na własną rękę. Na pierwszym planie ułan francuzki, otoczony dokoła przez nieprzyjacielskich, rozpaczliwy im opór stawia. Ruch, rozmaitość postaci i położenia wielka, a pierwiastek dramatyczny potęguje wrażenie.

Dział rzeźby, zawsze bardzo ubogi, zwiększył się kilkoma portretami medalionowymi Klossa. Odlewy jego gipsowe odznaczają się podobieństwem i gustem.

„Krucyfik“ mały drewniany, Kossowicza, i drugi wielki, kamienny Zbąskiego, wydasnieją starannym wykończeniem, nie różniąc się zresztą od ogółu wyrobów tego rodzaju. Krucyfik przestał być niejako dziełem sztuki, intuicji, a stał się stereotypem; krucyfik jest tylko symbolem, a nie rzeczywistym przedstawieniem postaci ludzkiej zawieszłej na krzyżu, nie mówiąc już o twarzy, w której ma się łączyć męka umierającego człowieka i majestat Boga. Najtrudniejsze zadanie sztuki, najczęstszemu podpadło wykonaniu; ale też poradzone sobie z tym zadaniem, nie rozwiązując go wcale. W początkach sztuki ze wszystkiemi sobie w ten sposób radzono, używając jej do kręślenia symbolów; następnie, gdy malarstwo zaczęło się wyzwaląć, przez długie wieki jednego Chrystusa nie odważono się malować według warunków realnego życia: wśród uczniów, z całą prawdą anatomii i karnacy wyobrażonych, stał jeden Chrystus w idealnym, niemożliwym fizycznie ciele, symbol, ale nie człowiek. Sztuka już dawno wyzwoliła się z tego mylnego, choć z pięknego źródła uszanowania boskości wpływającego poglądu; tylko krucyfiksy, z konieczności, z trudności wykonania, przypominają nieco dawny symbolizm. Jakkż, jeżeli przedstawienie za pomocą pędzla czy dłuta nagiego ciała ludzkiego uważane jest za szczyt techniki, to szczyt ten jeszcze niedostępniejszym się stanie w wyobrażeniu ukrzyżowanego Boga-człowieka. W innych forsownych położeniach pozowanie modelu przychodzi w pomoc artyście; tu model jest niemożliwy. Oczywiście biegły znawca anatomii dopełnia kombinacją i wyobraźnią to, czego widzieć nie może; są też malowane i rzeźbione wizerunki ukrzyżowanego Chrystusa uważane za arcydzieła. Michał Anioł dał arcydzieło anatomiczne; Rubens, Murillo, a z nowszych Kaulbach i zmarły niedawno Cornelius, znakomicie wywiązali się z tego trudnego zadania. Życzyłoby tylko należało, ażeby prace tych mistrzów brano za wzór przy wyrobieniu krucyfików służących do potrzeby religijnej. Sztuka chrześcijańska od wielu wieków skutecznie dąży do wywołania się z martwej symboliki pierwszych epoki, a dążenie to popierać należy we wszystkich kierunkach.

Utworów pp. Kossowicza i Zbąskiego nie można bynajmniej liczyć do tego tłumu formułkowanego wy-

konanych krucyfików; znać w nich dążenie do czystych pojęć, niemniej jednak wady anatomii są rażące; artyści nie śmiać czy nie chcą stanowczo z tradycją.

Rzeźba na drzewie dostarczyła wystawie śliczny „Ołtarzyk pokojowy“ w stylu gotyckim, Karola Martini i „Ramki drewniane“ Kowalewskiego, znanego już z dawniejszych podobnych wyrobów. Ramki te są nader gustowne: zdobią je wszystkie godła męki Pańskiej, splecione liśmi, a wykończone z nadzwyczajną wytwornością; całość mile uderza oko czystością stylu i harmonią. Niewiadomo co będą otaczać te ramy, choć oczywiście przeznaczone są do obrazu religijnej treści. Życzyć należy, ażeby i ze stanowiska artystycznego można było powtórzyć za Krasickim: „Wolałbym obraz, aniżeli ramy,“ bo przy tak pięknym wykończeniu ram, mogłoby się zdarzyć odwrotnie.

KORRESPONDENCA TYGODNIKA ILLUSTRowanego.

Poznań, w kwietniu 1867 r.

Tym razem posyłam wam sprawozdanie z prelekcji, urządzonych przez dyrekcją naszego Koła towarzyskiego, które niedawno dopiero się zakończyły. Odbywały się one w wielkiej sali bazarowej, począwszy od 25 stycznia, co piątek o godzinie 7 wieczorem. Członkowie Koła towarzyskiego i ich rodziny miały tam wstęp wolny, bilety zaś dla gości i ich rodzin na 10 odczytów kosztowały 18 zł., dla jednej osoby 12 zł., na pojedynczy zaś odczyt 2 zł., dla gimnazystów 1 zł.

Unikając wszelkiej krytyki, jako w tym razie niewłaściwej, wymienię tylko nazwiska czytających i treść ich prelekcji.

Szereg ich rozpoczął pan Hieronim Feldmanowski dwoma odczytami, z których pierwszy, odbyty 25 stycznia r. b., miał za przedmiot stan najnowszej literatury polskiej, drugi zaś, w dniu 1 lutego, ostatni utwór poetycki Wincentego Pola.

Trzecia z kolei prelekcja odbyła się w dniu 8 lutego. W niej p. Krzesiński, profesor tutejszego gimnazjum miał wykład „O Antygonie Sofoklesa i teatrze greckim.“ Przedmiot ten, jak sądzić można było, niebardzo przystępny osobliwie dla płci pięknej, umiał on uczynić tyle dla każdego zajmującym i popularnym, iż półtorę godziny bez znużenia dla publiczności przyjemnie wypełnił. Nie zapuszczając się w drobnostki ani też filozoficzne spory, zaraz na wstępie przedstawił jasny zarys teatru greckiego, od jego początków za czasów Tespisa, aż do epoki niezrównanych w starożytności mistrzów sztuki dramatycznej, jak: Eschyła, Euripidesa i Sofoklesa. Dla uprzytomnienia zaś tém dokładniej zewnątrz struktury greckich teatrów, postarał się o wyrysowany poprzednio na tablicy z wielką starannością szkic starożytnego amfiteatru, z wykutemi w skale siedzeniami na 30,000 osób, i do tego rysunku prelegent w czasie swego wykładu raz poraz się odwoływał. Po tym dopiero ogólnym wstępie, przeszedł prelegent do tragedji Sofoklesa, Antygony, chcąc przez ten przykład poznać publiczność z duchem i właściwościami klasycznej dramaturgii greckiej. Dla lepszego zrozumienia wątku tej tragedji, opowiedział znane podanie o królu Edypie, pełne krwi, łez i grozy, które nigdy dla dramaturgów greckich stanowiło nieprzebrane źródło tragicznych powikłań, okropnych scen i charakterów wzbudzających trwogę obok podziwu. Po czem odczytał wszystkie cenniejsze miejsca tej tragedji w gładkim, jak się zdaje własnym, polskim przekładzie, wypełniając opowiadaniem osnowę pominiętych przez siebie mniej ciekawych ustępów, aby całość przez to nie uciepiała. Ogólne wreszcie uwagi nad tém arcydziełem Sofoklesa i charakterystyka osób na scenę w niem wprowadzonych, zakończyły zajmującą tę pod każdym względem prelekcją.

Czwartą dnia 15 lutego prelekcją miał dr. Mattecki: „O telefonie,“ tym najnowszym a nader ważnym wynalazku w dziedzinie elektryczności i magnetyzmu, za pomocą którego człowiek głós swój, albo raczej melodyją jego, w dalekie strony na stamil przesyłać może. Celem dokładniejszego wyjaśnienia tego wynalazku i połączonego z nim przyrządu, prelegent najprzód rozwinął dość obszernie

teorią monokordu i kardynalne zasady akustyki, a następnie poświęcił kilka słów galwanicznej elektryczności. Przy pomocy baterii elektrycznej, stwierdził doświadczeniami przed publicznością znany pewnik, że miękkie żelazo, jeżeli się przez nie puści prąd elektryczny, staje się magnesem i rozciąga się we wszystkich kierunkach, w skutek czego wpada w drgnienia i pewien ton z siebie wydaje; a nadto że przez szybsze lub wolniejsze puszczanie i przerywanie prądu elektrycznego, można ów ton podnosić lub zniżać. Własności te miękkiego żelaza były oddawna fizykom znane, lecz przez nich mało cenione; nie umiano bowiem tonu tego do wolnie modulować. Dopiero w ostatnim czasie jeden uczonek niemiecki w Frankfurcie wpadł na dowcipny pomysł zbudowania małego bębena o delikatnej błonce, której wierzch z jednym biegunem elektryczności się styka, spód zaś w bezpośredniej bliskości drugiego bieguna się znajduje, tak że najmniejsze drgnienie błonki oba bieguny łączy i w naturalnym następstwie rodzi prąd galwaniczny, który obwinęte drutem telegraficznym miękkie żelazo w mgnieniu oka w magnes zamienia i ton z niego wydobywa. Gdy się więc coś mówi lub śpiewa nad owym bębniem, nazwanym z greckiego „telefon“, powtarza najprzód jego błonka jaknajwierniej melodyę, a za nią i żelazo, cicho wprawdzie, lecz całkiem wyraźnie. Czy telefon znajduje się blisko przyrządu elektrycznego i żelaza, czy o mil wiele, jest rzeczą całkiem obojętną, byle tylko drut telegraficzny między nimi utrzymywał komunikacyę. Chcąc dać choć małą próbkę tego telegrafowania melodią, poprosił prelegent jednego ze swych znajomych, ażeby się udał z telefonem do sąsiedniego pokoju, do którego dwa druty od baterii elektrycznej były przeprowadzone, i aby tamże nad nim coś zaśpiewał. Poczem wśród głębokiej ciszy na sali dał się słyszeć ku wielkiej zabawie publiczności marsz, lecz tak cicho, jak gdyby pszczoły tę nutę brzęczały; dalej pieśń: „Kiedy ranne wstają zorze“ i w końcu jeszcze jakaś melodia religijna. Jeżeli ten pomysł w przyszłości więcej jeszcze udoskonalony zostanie, nabierze bez wątpienia wielkiego znaczenia; dlatego też publiczność nasza płci obojg, zaciekawiona zapowiedzią tej prelekcji, zebrała się licznie aż do natłoku.

Na piątą prelekcję d. 22 lutego r. b. pan dr. Wituski, profesor przy tutejszym gimnazjum, miał rzec: „O elektryczności galwanicznej i indukcyjnej“ o której już dr. Matecki w przeszłej prelekcji wspomniął, a więc terazniejsza prelekcja była niejako poprzednią dopełnieniem. Powiedziawszy na wstępie kilka słów o naturze elektryczności samej, o jej własnościach i związku z magnetyzmem, objaśnił pokrótce stos Volty i znany aparat Rummkorfa, który miał przed sobą. Następnie zaczął doświadczać okazując cudowne własności siły elektrycznej, mając do tego pod ręką znakomite aparaty własne. Najwięcej obudziło zajęcia piękne doświadczenie z rurami Geislera, które wypompowane do próżni i napełnione nieznanymi gazami, zapalają się magicznym, falującym światłem, skoro tylko strumień elektryczny przez nie przejdzie. Śród ciemnej całkiem sali, gdy światło gazowe w niej zgaszono, przypatrzyliśmy się tym samym bladofioletowym i różowym płomieniom rur szklanych, które niedawno, jak czytaliśmy, zwróciły na siebie uwagę cesarza Francuzów. Wreszcie pograżoną jeszcze w ciemności publiczność, oblał nagle prelegent przy pomocy dr. Mateckiego światłem Drummonda, silniejszym od słonecznego, a wyjaśnieniem jego zakończył swą prelekcję.

Szósty wieczór d. 1 marca zajął dr. med. Mizerski, wzięwszy sobie za przedmiot odczyt: „O kosmetykach, czyli sztuce upiększenia ciała ludzkiego, uważanej ze stanowiska historycznego i ścisłej nauki.“ Był to przedmiot wyłącznie prawie płci pięknej poświęcony, która tej zimy bardzo tłumnie na te prelekcje się zgromadzała. Prelegent sprostować zamierzył liczne w niewieście świecie rozpowszechnione przesady, przynoszące często uszczerbek zdrowiu, a bardzo tylko wątpliwą korzyść piękności. Poruszył on wiele tajemnic toaletowych damskich, wydobył na światło i wziął pod krytykę mnóstwo arkanów płci pięknej, zaledwie z posłuchu znanych brzydszej połowie rodu ludzkiego, przez co widoczną wywołał sensacyę w gronie dam obecnych. Trzymając się ciągle granic naukowego

wykładu, a przytém nie schodząc ze stanowiska lekarza, dającego higieniczne przepisy, prelegent zdołał szczęśliwie wywiązać się z trudnego zadania. Raz poraż przelotny zaigrał uśmiech na ustach dam, gdy opowiadał o Popei małżonce Nerona, która 500 oślic trzymała, aby w ich mleku każdego rana się kąpać, albo gdy wspomniął o nieszczęśliwej przygodzie jednej elegantki paryżkiej, co słynąc miała z alabastrowej białości, a razu jednego z czarnej jak Murzynka twarzą weszła na balową salę. Stało się to zaś z tego powodu, że w drodze jakieś wodoro- rowe gazy ją owionęły i naraz blansz w czarność podobną do sadzy zamieniły. Ostrzegając więc prelegent przed podobnymi szarlatańskimi środkami, które nigdy prawie nie pomagają piękności, a zdrowiu częstokroć szkodzą, i podał niektóre przepisy kosmetyki racjonalnej, które stosować można bez obawy.

W siódmej prelekcji d. 15 marca pan Kazimirz Jarochoński przedstawił jak zwykle licznie zebranych słuchaczom: „Sprawę Jana Jabłonowskiego wojewody ruskiego i kanclerza w. koronnego, z r. 1713.“ Prelegent znany jest z różnych prac swych na polu historycznym, a czasy panowania Sasów w dawniej Polsce, w których żył Jan Jabłonowski syn hetmana wielkiego koronnego za panowania króla Jana III, bodaj czy któremu z terazniejszych naszych historyków lepiej są znane jak jemu, pracuje bowiem nad nimi od lat kilkunastu z prawdziwym zamiłowaniem i niezmierną pilnością. Jak już w dawniejszej mojej korespondencji doniosłem, w skutek usilnych starań, udało mu się w r. 1865 wyjednać sobie przystęp do archiwum drezdeńskiego, mieszczącego w sobie, jak wiadomo, nieocenione skarby do historii polskiej ostatniego stulecia, i wyniósł z tamąd mnóstwo dotychczas całkiem nieznanych szczegółów historycznych, odnoszących się do panowania Augusta II i Stanisława Leszczyńskiego. Z tego też źródła zaczerpnął w znacznej części materiał do swej prelekcji. Jabłonowski, jako wuj przytém króla Stanisława, pierwszorzędną polityczną rolę odgrywał w dawniej Polsce i jest bez wątpienia bardzo ciekawą postacią i wiernym odbiciem swego czasu. Poprzednio gorliwy zwolennik elektora saskiego, któremu się niemało do pozyskania korony polskiej przyczynił, stał nadal wierny po jego stronie, pomimo tego, iż zwycięzki Karol XII król szwedzki własnego jego siostrzeńca Stanisława Leszczyńskiego na tronie polskim osadził. W końcu jednakże, ulegając czasowym okolicznościom, przeszedł do obozu szwedzkiego, gdzie go tak dobrze dla siebie ujął umiano, iż odtąd stał się najgorliwszym stronnikiem króla Stanisława. Nawet po klęsce Karola XII pod Połtawą i po powrocie Augusta II do Polski, Jabłonowski nietylko wytrwał w wierności Stanisławowi, lecz stanął na czele opozycji przeciw Sasom. Skutkiem tego August II kazał Jabłonowskiego aresztować i osadzić w więzieniu w twierdzy Koenigsteinie. Tu przesiedział półtrzecia roku i w końcu tak bardzo upadł na duchu, iż najpokorniejsze pisywać zaczął listy do króla, prosząc go o uwolnienie. Jeden z takich listów odczytał prelegent w przekładzie polskim. Uwolniony z więzienia, wojewoda ruski wkrótce zakończył życie.

Na ósmą prelekcję d. 22 marca mieliśmy znów przyjemność słyszeć o piękności, lubo nie tego rodzaju jak na odczycie dr. Mizerskiego. Artysta-malarz pan Tytus Maleszewski, który od roku bawi w naszym mieście i okolicy, obrał sobie rzec: „O pięknie w sztuce, w szczególności zaś o Rafaelu Sanzio i Michale Aniole Buonarroti.“ Jest to nader przyjemny i niewyczerpany przedmiot, tém więcej gdy słyszemy o nim z ust artysty. Pan Maleszewski odpowiedział całkowicie swemu zadaniu, tak pod względem znawstwa przedmiotu i jego opracowania, jako też co do wysłowienia się, które zawsze było piękne i wzniósłe. Przedstawił najprzód ogólne estetyczne pojęcia, mówił dalej o sztukach pięknych w ogóle i o każdej ich części z osobna, wykazał różnicę sztuki u pogan od chrześcijańskiej, poczem przeszedł do malarstwa, jako przedmiotu najlepiej sobie znanego i do szkoły włoskiej, z której najgłówniejszymi przedstawicielami pokrótce obznajmił słuchaczów. Dopiero przy Rafaelu i Michale Aniele, tych największych mistrzów malarstwa, zatrzymał się dłużej i szczegółowo mówił o wszystkich dziełach ich pędzla. W tym celu

myślą oprowadził słuchaczów po salach obszernego Watykanu i po rzymskich kościołach, gdzie się znajdują obrazy tych mistrzów. Na Buonarrotim zakończył pan Maleszewski swą pod każdym względem zajmującą prelekcję.

Na dziewiątą d. 29 marca prelekcji, wystąpił pan Morawski, młody i bardzo uzdolniony literat, z odczytem: „O postaciach niewieścich w poezji polskiej.“ Przedstawienie jego było w rodzaju francuzkich *causeries littéraires*, które wolne od systematyczności ściśle naukowych wykładów, płyną swobodnie jak pogadanka, nie wyczerpując nigdzie przedmiotu do gruntu i tylko aforystycznie rzecz przedstawiają. Odczyt pana Morawskiego, był to szereg zajmujących charakterystycznych typów niewieścich, pięknych i idealnych, dobrze nam wszystkim znanych, choć wprawdzie z małym wyjątkiem nie istniejących w rzeczywistości. Któż, czytając Pana Tadeusza, nie rozmiłował się w jego Zosi? Któż nie rozżalił się nad nieszczęśliwym losem Maryi Malczeskiej? Któż, widząc te postaci wyidealizowane przez naszych wieszczów, przyjemnego nie doznawał złudzenia? Ze wszystkich tych kobiecych charakterów wzrosłych na niwie poezji polskiej, najwyższemu postawił prelegent Maryę, owę smętną córę ukraińskiego miecznika. Z postaci niewieścich stworzonych przez Mickiewicza, podniósł prelegent szczególnie Grażynę. O jasnowłosej Zosi w Panu Tadeuszu słusnie może zauważył, iż pomimo całej świeżości wonnego fiołka, niema w niej dość wybitnego charakteru; Telimenę zaś uznał jako typ wyjęty z rzeczywistego życia, choć może nieco zbyt mocnymi narysowanymi kolorami. Najmniej, według zdania p. Morawskiego, udała się Mickiewiczowi Aldona, kochanka Walenroda, jak to już poprzednio bystre oko Mochnackiego dojrzało. Nad charakterami kobiecimi Słowackiego zatrzymał się prelegent dłużej i zaraz na wstępie wspomniął o ich duchowym pokrewieństwie i podobieństwie z typami Szekspira. W niektórych wprawdzie postaciach, według niego, podobieństwo to tak jest dalekie, że zaledwie dostrzedz je można, jak np. Aldony w Mindowie do Ofelii w Hamlecie, lub Amelii w Mazepie do Desdemony. Natomiast rażące upatrywał podobieństwo jego Balladyny z Lady Makbet, oraz z Gonerilą lub Reganą w królu Learze, tak iż cokolwiek bądź powiedziano na usprawiedliwienie Słowackiego, utwór ten jego robi wrażenie genialnej tylko mozaiki z szekspirowskich utworów. Na dowód swego twierdzenia przywiódł prelegent, iż wprowadzenie na widownię świata czarów w Balladynie, jest osnowane na wzorze trzech czarownic Makbeta, a owa fantastyczna Goplana wraz z jej psotnym chochlikiem, jest tylko poprostu w słowiańskie szaty przybrana Tytania i Puk z Szekspira „Sn u nocy letniej.“ Rozbierając znów charakter Lilly Wenedy, poprowadził prelegent piękną paralelę pomiędzy tą królewską córą Wenedów, a starożytną Antygoną i Elsiną Zygmunta. Maryę Stuart Słowackiego postawił p. Morawski obok Maryi Stuart Szyllera i zachodząc różnicę w sposobie pojmovania historycznego charakteru tej bohaterki przez dwóch znakomych pisarzy, tłumaczył odległością chwil życia, w których poeci nieszczęśliwą tę królową przedstawili. Wspomniął prelegent w końcu jeszcze o owjej awanturniczcej Marynie Mniszechównie w Krasieńskiego Agaj Hanie, o dreszczem przejmującej Ksenii Goszczyńskiej i wreszcie o innych pomniejszych postaciach niewieścich, nie przepominając nawet o Ułanie Kraszewskiego, choć tylko prozą napisanej. Publiczność na tej prelekcji była bardzo licznie zebrana, osobliwie płeć piękna.

Szereg tych prelekcji zakończył w d. 12 kwietnia r. b. pan Leon Wegner nader zajmującym i gruntownie opracowanym ustępem dziejowym.

Prelekcje te uważać można za 2gi oddział naszych tegorocznych karnawałowych rozrywek i z pociechą przyznać trzeba, iż ciągle licznie przez publiczność, osobliwie niewieścią, odwiedzane były.

Wspomnieć tu także musimy dla uzupełnienia obrazu, że przez cztery niedziele, począwszy od dnia 27 stycznia r. b., w wielkiej sali tutejszej szkoły realnej miał odczyty pan Freymond, lektor języka francuzkiego przy uniwersytecie wrocławskim, o najnowszej literaturze francuzkiej. Odbywał on przeszłego roku podobne odczyty publiczne w auli uniwersytetu wrocławskiego przed liczną publicznością i z wielkim powodzeniem. Takiegoż same-

SZKICE Z ŻYCIA WARSZAWSKIEGO.

Rysował F. Kostrzewski.

go powodzenia doznał także u nas w Poznaniu. Rozbięrał i oceniał dzieła Bérangera, Aleksandra Dumasa, pani George Sand i innych pisarzy, zajmujących celniejsze stanowiska w terażniejszej literaturze francuzkiej, dając przytém pogląd na rozwój dramatu francuzkiego w ostatnich trzydziestu latach. Wykład jego był zręczny i w wysłowieniu ozdobny.

Przegląd piśmienniczy.

Wykład europejskiego prawa narodów, według A. W. Hefftera, na podstawie wydania z roku 1844 wypracował J. H. S. Rzeziński, a podług najnowszego wydania niemieckiego z r. 1861 uzupełnił dr. A. Rydzowski adwokat. Kraków, nakładem i w drukarni C. K. Uniwersytetu Jagiellońskiego, 1864 roku, tom I.

Kwitające w zachodnich uniwersytetach studia prawne i państwowe, wywołały znamienite prace francuzkich, niemieckich i angielskich uczonych, roztrząsając kwestye zasad prawa międzynarodowego już w systematycznej ich całości, już też monograficznie. Zasłużone imiona Klübera, Hautefeuille, Wheatona, Roberta Mohla, Kaltenborna, Hefftera, Fryderyka Laurent i t. d., nie mówiąc już o mnóstwie mniej słynnych pisarzy, aż nadto świadczą o wielkim ruchu jaki w tej gałęzi umiejętności w ostatnich pojawił się czasach.

Słysząc się czasami zdarza zdanie nader niezasadne, jakoby nauka prawa międzynarodowego do wykształcenia człowieka w ogóle, a nawet i prawnika w szczególności, nie była konieczną potrzebą; jakoby dla pewnej szczupłej tylko liczby fachowych, służbie dyplomatycznej oddających się urzę-

dników była użyteczną. Zdanie takie rozpowszechnianem bywa, ze szkodą wyższego ogólnego kształcenia, bądź przez ludzi nieobeznanych ze znaczeniem istoty i ważności prawa międzynarodowego, bądź przez dopatrujących tylko tyle użyteczności w jakiejś nauce, ile bezpośrednio do praktycznego chlebobojnego zawodu jest nieodzownie potrzebną. I z jednymi i z drugimi sporu w tém miejscu wieść nie będziemy. Podniesienie kwestyi prawa międzynarodowego w literaturze, zjawienie się pewnego dla niej zajęcia, poczytujemy za bardzo dobry i godny uwagi fakt; ta bowiem nauka i historia cywilizacji ludów są jaknajściślej ze sobą zespolone.

Z prawdziwą tedy przyjemnością powitaliśmy najprzód zawiadomienie, a następnie i wydrukowanie pod powagą, bo nakładem ces. kr. Jagiellońskiego uniwersytetu, a przez dwóch jego członków dokonanego tłumaczenia wybornego dzieła berlińskiego profesora i zasłużonego jurysty, dra. A. W. Hefftera, które wykład systematyczny prawa międzynarodowego europejskiego zawiera.

Wybór dzieła samego był jaknajlepszy. Niemieckiego publicysty książka, w najnowszej przedmiotu tego literaturze uznana za godną polecenia we wszystkich uniwersytetach, jasnością i gruntownością przedstawienia nad inne się zaleca. W obec tedy braku we własnej naszej literaturze dzieła przedmiotowi prawa międzynarodowego poświęconego, a w obec potrzeby podania dobrego podręcznika uniwersyteckiej młodzieży do pomocy przy wykładach i studiach, taki zamiar wyświadczenia przysługi przez wydanie dobrego obcego dzieła w języku polskim, na wdzięczność i uznanie powszechne zasługuje.

Niezawsze jednakowoż sam zamiar wystarcza; sposób jego urzeczywistnienia o zasłudze dopiero wyreka. Żalować przychodzi jeżeli pierwszy nie odpowiada drugiemu, bo użyteczność przedsięwzięcia wtedy upada, a co więcej, przeszkadza czasem dokonaniu go lepiej. Z przykrością wyznać przychodzi, że właśnie tak się rzecz ma z ogłoszonym przekładem dzieła Hefftera. Dokonany on został z tylu wadami i niedostatkami, że zamierzona ztąd korzyść dla krajowej nauki bynajmniej osiągniętą nie została. Przekład obecny nikomu się nie przyda; kto chce studyować dzieło Hefftera, musi je czytać w oryginale. To co nam dał pan dr. Rydzowski

z rękopisu zmarłego prof. Rzezińskiego, nie jest ani oryginalnym wykładem prawa międzynarodowego, ani wiernym tłumaczeniem Hefftera. Jest to w najdowolniejszy sposób poprzemieniana, bez zasady racjonalnej naukowej pomieszana cudza praca, a przytém złym, niepoprawnym polskim językiem dokonana robota. Jednym słowem, jest to popsute wyborne dzieło Hefftera. Łatwo sobie wyobrazić jakiego przykrego musi doznawać uczucia autor niemiecki, widząc że w taki sposób jego książka w innym języku oszpeconą została. Nigdy zrozumieć nie zdołamy, jak rzecz podobna, pod powagą tak wysoko szanowanej, tyle czei powszechnej budzącej instytucji, jak starożytny uniwersytet krakowski, do druku oddaną być mogła.

Podwójnie też z tego względu jest przykry obowiązek sprawozdawcy. W interesie jednakowoż nauki wykazać potrzeba błąd popełniony, zarówno dlatego aby się przez to dzieło nie szerzył, jak i dla udowodnienia potrzeby podjęcia lepszej pracy.

Na usprawiedliwienie powyższego sądu przedstawiamy następne uwagi, nasuwające się po przeczytaniu i porównaniu polskiego tłumaczenia z oryginalnym tekstem, wedle wydania z 1861 r.

Najpierwszy zarzut jaki mamy do zrobienia jest, że wydawcy nie uznali za stosowne, choćby kilką wyrazami przedmowy poprzedzić dzieło, dla wyjaśnienia czytelnikowi stosunku oryginału do przekładu, zmian i zboczeń w nim dokonanych, a mianowicie pobudek jakie były tego powodem. Nawet spis rzeczy jest tak niedokładny i tak mało szczegółowy, że nie potrafi oświecić czytelnika o całkowitej treści książki. Tém mniej może z tego powodu być pomocnym do doraźnego odszukania szczególnej jakiejś kwestyi, jak to wszystkich spisów rzeczy w naukowych książkach jest zawsze zadaniem.

Zarzut ten odnosi się wprawdzie do zewnętrznej tylko strony dzieła; świadczy on już jednak o nieporządku i braku troskliwości ze strony wydawców.

(Ob. dodatek).



W ogrodzie Saskim.

Bona 1sza. Ach! z temi bachorami, to skaranie Boskie, moja pani!
Bona 2ga. Oj, prawda, prawda!... Ale tyż najlepší nie trza wleć na nich zważać.
Bona 1sza. A naturalnie; kto by tam sobie głowę tём zwracał.

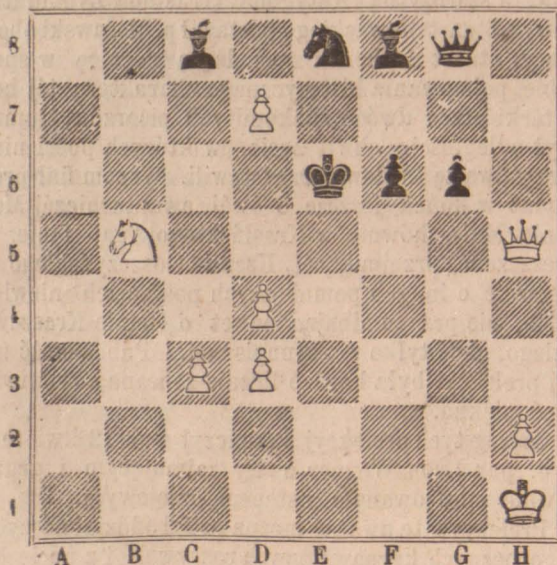
Szachy.

ZADANIE CCCLV.

(Edmund S. w Warszawie).

Białe zaczynają i dają mata za 3-ém posunięciem.

Czarne.



Białe.

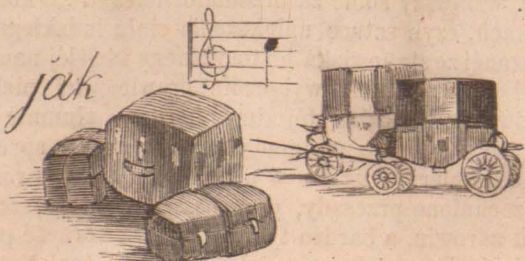
Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 354.

Białe.

Czarne.

- | | |
|-------------------|---------------------|
| 1) C4—E5 | 1) F2—E3 biorą. |
| 2) F4—D3 | 2) E4—D3 biorą. |
| 3) E5—G4 + i mat. | |
| 1) | 1) F2—G1 lub F1. |
| 2) E5—G4 | 2) Król jakkolwiek. |
| 3) E3—E1 + i mat. | |

Rebus.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 398.

Próżne między dwoma zatargi, wychodzą zawsze na dobre trzeciemu.

(Dodatek).

Ważniejszy daleko, bo przyczynę nieużyteczności książki wyjaśniający zarzut, dotyczy wewnętrznego rozkładu materji. Tłumacze przerabiający dzieło Hefftera, obeszli się z pierwotnym jego systematem z dowolnością niczem nieusprawiedliwioną i w sposób nie czyniący zadość najelementarniejszym wymaganiom naukowym. Oto co zrobili.

Heffter dzieli całą treść swego wykładu prawa międzynarodowego na wstęp, a po nim na trzy księgi. W pierwszej mówi o zasadach prawnych w czasie pokoju, w drugiej o zasadach w czasie wojny, a w trzeciej o formie postępowania w stosunkach międzynarodowych.

Część zasadom w czasie pokoju poświęconą rozdziała znowu, wedle utartego prywatno-prawnego planu, na prawo osobowe, rzeczowe i prawo ze zobowiązań wynikające.

Przeciwko systematowi temu robiono już nieraz w nauce zarzuty, iż niezgodny jest z naturą kwestyj w prawie międzynarodowym się spotykających. Zarówno podział na prawo pokoju i wojny, jeszcze od czasu Alberica Gentili, a następnie Grotiusa powstały, jak i sam wreszcie prywatno-prawny szematyzm materji prawa publicznego, znalazły wielu przeciwników, bardzo racjonalne motywa przeciw niemu podających. Robert Mohl, Kaltenborn i inni wykazali jego ujemne strony. Heffter miał jednakowoż swoje powody pozostania i w nowej edycji przy tym systemacie, jak to udowodnił w przedmowie do czwartej z r. 1861. Spór więc trwa o to dotychczas w umiejętności; ostatecznie co do dzieła Hefftera zgodzono się, że jakkolwiek przyjęty przez niego systemat ma swoje wady, jednakowoż nic to nie umniejsza wartości i jasności wykładu, z powodu *logiczności i harmonii, z którą całość jego wedle zasadniczej myśli systematu jest przeprowadzoną*.

Nie będziemy w tym miejscu traktowali specjalnej i ważnej kwestji systematyki prawa międzynarodowego; chcąc własne o niej wypowiedzieć przekonanie, trzeba by wykroczyć z granic obecnemu artykułowi zakreślonych. Zaznaczamy tylko, iż można mieć uzasadnione powody nieprzyznawania systematu Hefftera za odpowiedni.

Polscy tedy tłumacze, jeżeli również byli z niego niezadowoleni, mieli dwie drogi. Albo oświadczyć w przedmowie, że uznawszy ten system za niewłaściwy, *przerobili* całe dzieło wedle innego, to znaczy że *stworzyli nowy, odmienny, organiczny związek*, pozostawiając tylko myśli i twierdzenia autora. Każdyby tedy wiedział ile ma przed sobą z Hefftera, a ile od tłumaczów. Ład, związek, harmonia pozostałyby przytém, a wykład mógłby być jasnym i użytecznym. Praca taka trudna wprawdzie, ale dowodziłaby znajomości rzeczy i szacunku dla nauki. Jeżeli się powiodła, stanowiłaby w niej może nawet pewien postęp. To jedna, jak powiadamy, droga. Druga była prostsza i, powiemy nawet, przyzwoitsza dla tłumaczów, zabierających się znamienitą obcego uczonego pracę krajowej przyswoić literaturze: tłumacząc wiernie, podać całe dzieło w swoim języku zupełnie tak samo jak zostało stworzone w obcym, a wszystkie niedostatki, wady, pomyłki, mniemane czy rzeczywiste, wykazać i udowodnić w przedmowie, w odsyłaczach czy inném osobném miejscu. Tak zawsze obchodzili się lojalni i sumieni wydawcy i komentatorowie z najsłynniejszymi autorami. Zasługiwał na to i Heffter, którego wykład prawa międzynarodowego przyznany został w Europie za klasyczny. W Niemczech we wszystkich uniwersytetach do podręcznej pomocy używany, doczekał się 4 edycji. We Francji, gdzie tak niechętnie od Niemców naukę pożyczają, wierny jego przekład wydał Dr. Juliusz Bergson. W Grecji profesor ateńskiego uniwersytetu Diomide Kyriakon uczynił to samo. Można więc było bez ujmy i w Krakowie prosto dobrze przetłumaczyć, tém więcej że jeszcze ani jednej polskiej książki całą naukę prawa międzynarodowego wykładającej nie posiadamy.

Żadnej ze wskazanych dwóch dróg nie trzymali się krakowscy wydawcy.

Wyczytawszy zapewne w dziele Kaltenborna, wydaném jeszcze w r. 1847 p. t. „*Kritik des Völkerrechts*“, jego projekt (bardzo zresztą racjonalny) systematyki prawa międzynarodowego (*), chwycili

coś z tej myśli i przyczepili ją w niewidziany i niepraktykowany dotąd w nauce sposób do przekładu dzieła Hefftera. Ustawili niedokładnie nawet szemat Kaltenborna, porozrywali pojedyncze rozdziały i paragrafy Hefftera i powstawali je jakby w szuflady, nie dbając ani trochę o konsekwencję i związek, pod tytuły nowe, niby za Kaltenbornem powtórzone. Z tego wypadło naturalnie, że dzieło Hefftera zostało popsteu, systemat jego zburzony, organiczny związek kwestyj rozerwany, a nie postawiony natomiast nowy. Porozrzucić rozdziały i paragrafy, których następstwo miało swoje wewnętrzne, do pewnej ogólnej myśli odniesione przyczyny, i pozbyć je inaczéj obok siebie, nie przerobiwszy ich i nie wprowadziwszy harmonii związku organicznej, to przecie nie jest utworzenie nowego systematu! Karty można tak tasować, ale rozdziałów i paragrafów całości naukowej w żaden sposób. Tymczasem tutaj literalnie tak postąpiono. Do jakiego stopnia doszło to surowej nagany godne nieuszanowanie cudzej pracy, niech przykład następny udowodni.

Heffter zapowiada w oryginalnym tekście w § 4 na str. 6 (ed. 4a. 1861) podział na 3 części: prawa pokoja, prawa wojny i zasad sztuki dyplomatycznej czyli sposobu postępowania.

W polskim przekładzie, także w § 4, na str. 6, znajdujemy *dostłownie tę samą zapowiedź autora*, a tymczasem *zupełnie inaczéj* w dalszym ciągu podział ten jest dokonany, a mianowicie: na część ogólną i część szczególną, z tą jeszcze zmianą, że z tą pierwszą złączono to co u Hefftera stanowi osobną trzecią część, t. j. sztukę dyplomatyczną. W polskim więc przekładzie *zapowiedziany inny podział, a zrobiony inny!* Nie zadano sobie nawet fadygi wymazania przynajmniej kilku wierszy, które sprawiając taką rażąca sprzeczność, oskarżają wydawców o nieuwagę wszelką miarę przyzwoitości przechodzącą. Rzeczywiście, trudno ją dalej posunąć.

Takim tedy sposobem obeszli się polscy tłumacze z systematem autora. Żywcem przetłumaczyli pojedyncze ustępy, porozrzucali je i potem dowolnie poustawiali przy sobie. I to się nazywa stworzenie nowego systematu, poprawienie cudzej pracy! Naturalnie naprózno by ktoś w takiej robocie szukał związku, konsekwencji i jasności. Dlatego też taki przekład na nic się nikomu nie przyda.

To co u Hefftera było obmyślaném następstwem, miało konieczną przyczynę związku, bo rozdział poprzedni był przygotowaniem do dalszego, to tutaj jest przypadkowe, a często niewłaściwie zaciemnia przegląd całości.

(Dokończenie nastąpi).

Kronika zagraniczna,

przez

J. I. Kraszewskiego.

XI.

(Dokończenie).

Mnożą się jeszcze dotąd w Niemczech pisma wywołane ostatnimi wojennymi wypadkami, obfite w nauki dla przyszłości pod strategicznymi i innymi względami. Armia saska, która mężnie walczyła, a dziś dostała iglicówki i przeradza się w pruską, opowiada pod różnemi formami smutne dzieje dni ostatnich, które przypłaciła znacznymi stratami. W Lipsku, u Karola Minde, wyszła z opowiadań oficerów i podań półurzędowych ułożona Historia wojska saskiego w wojnie niemieckiej 1866 r.

Zajmującym dla specjalistów będzie sprawozdanie lekarza Szwajcara, który umyślnie, dla zbadania pod względem naukowym następstw wojny, przybył d. 31 lipca do Tauberbischofsheim, d. 17 sierpnia udał się do Czech, oglądał szpitale i opisał w sposób dokładny co zbadał na miejscu. Rada związkowa kazała to sprawozdanie wydrukować kosztem rządowym i rozesłała znaczną ilość egzemplarzy po kantonach. Zawiera ono postrzeżenia o rodzajach ran zadanych bronią nową, szczegółowo spisane, uszkodzenia różnych części ciała, rzecz o ambulansach, szpitalach, sposobach leczenia, opatrywania i t. d. Wyszła także w Aarau, po francuzku i po niemiecku, Historia związku szwajcarskiego, od najdawniejszych czasów do r. 1866, przez A. Daynet. Dzieło to jednotomowe jest zapewne najlepszą książką podręczną historyczną w tym przedmiocie.

Z artystów zmarłych w tych czasach, — a liczba ich jest znaczna i dziwnie się zwiększyła w ostatnich miesiącach — zasługuje na wymienienie Jakub Ignacy Hittorf, rodem Niemiec, osiadły i znany we Francji jako inspektor budowl rządowych i architekt główny. Urodzony w r. 1792 w Kolonii, od ostatnich lat siedemnastu żył w Paryżu, gdzie zbudował teatr de l'Ambigu-Comique, restaurował salę Favart i kościół S. Remy w Rheims, dawał plany na pomniki księcia Berry i księżny kurlandzkiej, zajmował się przyozdobieniem placu zgody (Concorde), pól Elizejskich, lasku Bulońskiego i w wielu uroczystościach i obchodach, które wymagały osobnych czasowych przyozdobień, czynny brał udział. Po r. 1830 i upadku dynastji Burbonów, stracił miejsce architekta królewskiego, ale później dano mu inne, budowniczego jednego z okręgów Paryża. Napoleon III używał go także. Był członkiem Instytutu. Hittorf pisał i wydał dzieło o architekturze w Sycylii, o polichromii u Greków i starożytnościach atyckich. Lękamy się omylić, lecz podobno jemu winniśmy wydanie rysunku z monogramem Wita Stwosza, który zdaje się dowodzić, że grób św. Sebalda był w części przynajmniej pomysłem naszego artysty.

W Sztokholmie zmarł Quarnström (7 marca), dyrektor tamtejszej akademii sztuk.

Do licznych oznak spółczucia po śmierci Corneliusa zaliczyć trzeba list do wdowy jego, napisany przez króla bawarskiego; w liście tym król się wyraża: „Słońce się zaćmiło gdy umierał, ale jakimże on słońcem był dla sztuki!”

Kartony Corneliusa przechodzą na własność rządową, chociaż idea tego Campo Santo, które przyozdabiać miały, nie zdaje się być dziś bliską rzeczywistości. Dom w którym mieszkał artysta, zbudowany dla niego w Thiergarten naprzeciw Kroll'a, przechodzi także na własność rządową, za opłatą dziedzicom 200,000 talarów. Wdowa, Włoszka rodem, chwilowo tylko dla odwiedzenia swój rodziny wyjeżdża do swój ojczyzny, ale powraca na stałe mieszkanie do Berlina.

Pomnik dla generała Lamoriciér'a, wedle pomysłu Pawła Dubois, ma być wykonany. Wyznaczona na ten cel komisja projekt zatwierdziła. Na rodzaju sarkofagu spoczywać ma zmarłego figura, obwinęta całunem, ze szpadą u boku, a krzyżem do ust przyciśniętym. Ponad nią cztery kolumny dźwigać będą baldachin, na którym lew strzegący tyary i kluczy Piotrowych. Po czterech rogach podstawy cztery symboliczne postacie: religia zrywająca łańcuch, wiara, odwaga cywilna i wojskowa.

Na pomnikach i budowach wielkich nie zbywa nigdzie; jest to jedna z namiętności wieku, który cegiel i kamieni nagromadzi sporo, choć nawet architektury właściwej sobie nie wynalazł, bo za taką pudełek z żelaza i szkła stawianych liczyć się nie godzi. W Lipsku olbrzymi teatr (jak na Lipsk), w Monachium jeszcze obszerniejszy gmach, obrachowany na tysiące widzów, w Hamburgu ogromna Kunsthalle, w Frankfurcie tum nowy, w Londynie przebudowanie Nationalgaleries i t. d.

Hamburg, mimo dosyć ciężkich czasów, wyda stokilkadziesiąt tysięcy talarów na swą Hallę, a czego miasto nie ofiaruje, prywatni dokładają. Na dokończenie, a raczej przedstawienie tumu w Frankfurcie od r. 1512 porzuconego niedobudowanym, rząd pruski daje 30,000 talarów rocznie. Koloński także spieszniej niż rachowano da się wykończyć, jeśli, o czém nie wątpią, król zgodzi się na przedłużenie kilkoletnie danego komisji przywileju loteryi na ten cel odbywaną.

Kiedy i u nas konkursu się zjawiają, a lwowski teatr rozpisuje nagrodę za najlepszy dramat lub inne dzieło sceniczne, ciekawą być może podobnego rodzaju próba w Węgrzech, z konkursem Telekiego. Na ostatniém posiedzeniu akademii w Peszcie zdawano właśnie sprawę z rezultatów ogłoszonego konkursu, który za najlepszą komedią sto czerwonych złotych wyznaczał.

Nadesłanych prac było trzystaście, a z tych komitet żadnej nie uznał godną nagrody. Że jednak wolą dawcy było wyraźną, ażeby w takim razie najmniej zła komedia otrzymała owe sto dukatów, przyznano je zatytułowanej: „Kedo es hivatas“; ale sposób w jaki premium przysądzoném zostało, uważali sędziowie za tak jakoś uwłaczający dla nieznanego autora, iż postanowili, nie rozpieczętując

(*) K. Kaltenborn. Kritik des Völkerrechts. Leipz. 1847. Rozd. V § 9. Versuch einer Systematik, str. 294.

koperty z jego nazwiskiem, czekać ażeby się sam o to zgłosił. Jest to dowód delikatności wielce pocziwej. Dzienniki wszakże ogłosiły już, że autorem komedii najmniej zły jest Edward Sziglieti.

W Paryżu zrazu bardzo dobrego przyjęcia doznała nowa komedia Dumasa syna „Idee pani Aubry“, ale powodzenie jej nie zdaje się trwałem. Dumas robi w niej wprawdzie małą wycieczkę po za stworzony przez się świat dam kameliowych, lecz usiłuje dosyć paradoksalnie dowieść potrzeby rehabilitacji dla ofiar obyczajów wieku. Niektóre sytuacje są nowe i dosyć oryginalne, ogół wszakże tylko figlami stylu i języka utrzymać się może. Galileusz Ponsard'a wyszedł z druku i dwa jego wydania w przeciągu trzech dni (8000 egzemplarzy) miały być rozchwypane. Mówimy miały być, gdyż w Paryżu umieją przygotowywać powodzenie książkom i często drugie wydania poprzedzają pierwsze.

Grano także „Córkę milionera“ pana de Girardin, nie z wielkim rozgłosem, równie jak „Owce parszywe“ Teodora Barrière. W teatrach niemieckich mało nowości; przemagają drobne, wesołe komedyjki, krotoczwile ze śpiewami i wystawą, opeletki, czarodziejskie obrazy, co niekoniecznie dowodzi polepszenia smaku.

Gmach opery paryzkiej, który przez dwa lata jeszcze ma się budować, już podobno do tego stopnia jest podkończony, że archiwa i biblioteka do niego się przenoszą. Zapewniają że wewnętrznych drzwi zamykanych na klucze, ma być dwa tysiące pięćset... można ztąd wnosić o kolosalności budowy, wielce ozdobnej, ale w ogóle nie uderzającej nadzwyczajną pięknoscią.

Mówiąc o literaturze niemieckiej, zapomnieliśmy wzmiankować o zwracającym na siebie oczy ciekawych pisarzu, autorze Obrazków wiejskiego życia, synu natury... chłopku. Zowie się on Franciszek Michał Felder i wydał już w r. 1864 Historię wiejską, z obyczajów ludu w Voralbergu, którego jest mieszkańcem.

Dziwić to może iż w Niemczech, gdzie tysiące dzieci włościńskich kończy nauki po uniwersytetach i wychodzi na profesorów i pisarzy, Felder jest uważany za osobliwsze zjawisko. Przyczynia się do tego zapewne to, że się sam wykształcił i że w istocie jest niepospolicie utalentowanym, a co rzadsza, pełnym niewymuszonej, wiejskiej prostoty. Spodziewamy się wkrótce powieści o tym chłopku coś więcej, gdy nas oczekiwany dojdzie materiał. „Wycieczka do Tannberg'a“ którą jedno z pism literackich właśnie wydrukowało, jest wcale zgrabnym obrazkiem, ale takim, jakich dzisiaj literatura niemiecka liczy bardzo wiele. *Dorfgeschichten* od niejakiemu czasu mnożą się i dosyć są lubione.

Parę rzeczy nas obchodzących jeszcze byśmy tu dodać mogli, choćby dla pamięci; jak naprzykład rozprawę dr. Ksawerego Liske, wydaną w Lipsku, a zaczerpniętą z ósmego tomu Tomicyanów (ostatniego), jako dodatek do dziejów węgiersko-austriackich z r. 1526. (Polnische Diplomatie im Jahre 1526). Dowiadujemy się z niej o trzech jeszcze dysertacjach z tego samego źródła wysnutych: Józefa Fidler'a, O połączeniu kościołów w XVI w. (Rozprawy akademii nauk w Wiedniu, tom 40, rok 1862); Teofila Krasnosielskiego „De duce in Prussia creato i Wł. Lebińskiego (redaktora Gazety toruńskiej) De nuntiorum terrestrium in polon. Rp. origine, conditione et rebus gestis). Dr. Liske, ubolewając nad tem że wydanie Tomicyanów na ósmym tomie ze śmiercią hr. Działyńskiego przerwaniem zostało, dodaje uwagę, iż wieleby aktów współczesnych już z samych bibliotek i archiwów berlińskich dało się dla uzupełnienia dołączyć. Życzenie to, dziś zapóźne, stawia autor z tego powodu, iż oprócz tekstu właściwych Tomickiego aktów, znalazł gdzieś niegdzie ze zbiorów kurnickich wcielone dodatki. Trudno jednak wymagać, aby cały zasób historycznego materiału epoki w Tomicyanach się mieścił i to nie było wcale zadaniem szanownego ich wydawcy, który pomnik niemi wiekuisty wystawił dziejowej epoce, jednej z najważniejszych w przeszłości.

Żywimy tę błogą nadzieję, iż się na ósmym tomie akt Tomickiego nie skończy i wiemy napewno, że gdy będzie możność wydania dalszego ciągu, przygotowanego już, ten się niezawodnie ukaże. Nie o obojętność spadkobiercę pomówić można,

lecz inne, niezależne od woli jego, przyczyny stoją na przeszkodzie uzupełnieniu ważnego zbioru, a te sam czas usunąć musi. Rozprawa dr. Liske, jedna z kilku przygotowanych do druku, wskazuje właściwy użytek akt Tomickiego, dotąd prawie nietkniętych.

W Paryżu hr. de Noailles wydaje w tej chwili trzynomową Historię Henryka Walezyusza jako króla polskiego, przyczynek bardzo ważny do dziejów Polski i Francji, w znacznej części na nowych i nieznanych, z wielkim trudem zebranych aktach i dokumentach oparty.

Ze świata muzycznego.

Z początkiem maja, a końcem sezonu koncertowego, coraz gęściej koncerta po sobie następowały.

Szereg ich rozpoczął p. Antoni Kątski dnia 2 maja wieczorem w teatrze Wielkim. O drugim tym wystąpieniu p. K. nie możemy donieść tylko to, o czem wiemy z ust wiarogodnych, tym razem bowiem nie mieliśmy sposobności słyszenia go osobiście. P. K. grał 5-ty koncert Beethovena z orkiestrą; z własnych kompozycji zaś: Fantazją z Traviaty Verdego i Kaprys heroiczny „Przebudzenie się lwa.“ Powodzenie, o ile nam mówiono, było wielkie, o czem nie wątpimy, i nie możemy odżalować chybionej sposobności usłyszenia wspaniałego koncertu Beethovena. Dzieło to, pełne męskiej siły i cudownych odcieni, przesłuchanie musiało się uwydatnić pod palcami znakomitego koncertanta.

Następną niedzielę, t. j. 5-go maja, odbył się w resursie Obywatelskiej urządony przez nią poranek muzykalno-deklamatorski na korzyść Królikowskiego. Pani Dowiakowska i panna Kwiecińska, pp. Filleborn, Cieślowski, Keller i Prohazka, wraz z orkiestrą teatru Wielkiego, jako przedstawiciele muzyki, złożyli hołd starszej jej siostrze, poezji, reprezentowanej w deklamacji przez beneficjanta, pannę Palińską i pana Rychtera. Koncertem dyrygował p. Quattrini. Wszystkie numera programu powiodły się jaknajzupełniej. Orkiestra odegrała nwerturę z Niemiej z Portici Auber'a i „Przebudzenie się lwa“ A. Kątskiego. Dzieło to, pierwotnie ułożone z partycyi fortepianowej na orkiestrę wojskową przez p. Wieprehta, dyrektora muzyki wojskowej pruskiej, niejednokrotnie słyszeliśmy wykonane w Berlinie z wielkim powodzeniem, przełożone zaś na orkiestrę zwyczajną, wychodzi ze swego charakteru i wiele na tém traci. Z numerów śpiewu słyszeliśmy: kwartet i finał z opery „Il Bravo“ Mercadantego, pierwszy odśpiewany przez pp. Dowiakowską i Kwiecińską, pp. Filleborna i Cieślowskiego, drugi przez cały wyżej wspomniany skład artystów opery; dalej „Duet z Jawnuty“ Moniuszki (p. Kwiecińska i p. Keller) i Duet z „Marino Faliero“ Donizettego (p. Dowiakowska i p. Prohazka). Takż sam poranek, tylko bez orkiestry, ale natomiast ze solowym fortepianem (panna M. Peschke) urządony został na korzyść p. Jana Chęcińskiego, artysty i zasłużonego autora-poety. Panna Peschke odegrała z wielkim powodzeniem najprzód sonatę D min. Beethovena, następnie walc Zarzyckiego i marsz turecki Beethovena, ułożony na fortepian przez Rubinsteina. Pan Goebelt z trzema swymi uczniami zagrał kwartet na 4 wiolonczelle, kompozytocy Limmera. Ze śpiewów były dwa solowe, t. j. „Matka i dziecię“ Donizettego, wykonany przez p. Kwiecińską, i Cabaletta z „Jerozolimy“ Verdego, odśpiewana przez panią Dowiakowską, z całym zasobem ich pięknego talentu; ze zbiorowych zaś śpiewów słyszeliśmy: kwartet z „Przysięgi“ i po raz drugi finał z „Il Bravo“ Mercadantego, wykonane przez tych samych artystów co na pierwszym poranku, z równem zamiłowaniem i powodzeniem.

Zapewne niejedna nam się jeszcze zdarzy sposobność pomówienia szczegółowo o pracy i postępie naszych śpiewaków i orkiestry; dziś bowiem zmuszeni jesteśmy zwrócić całą naszą uwagę na znakomitości europejskie bawiące obecnie w Warszawie, t. j. Litolffa i Ole Bulla. Czujemy się także w obowiązku złożenia choć kilku słów podziękowania resursie Obywatelskiej, za jej prawdziwie obywatelskie postępowanie względem artystów zasłużonych. Nie sama grzeczność stanowi tu zasługę, lecz sposób jej wykonania; poranki te bowiem urządzone zostały bez wiedzy beneficjantów przez komitet resursy.

Ale powróćmy do naszych znakomitych gości. Litolff i Ole Bull, dwaj mistrze to potężni, na których tylko z uwielbieniem spoglądać wolno. Litolff przedstawił nam się kilkakrotnie jako kompozytor i fortepianista przed wyjazdem do Petersburga, i wdzięczni mu jesteśmy, iż w przejeździe z powrotem za granicę poświęcił nam dni kilka jeszcze. Na urządzonym przez siebie wieczorze muzycznym w resursie Obywatelskiej d. 10 maja, grał najprzód Sonatę Beethovena (ofiarowaną Kreutzerowi) ze skrzypcami (p. Schultz); następnie dwie części z 4go koncertu swego, t. j. Adagio i Scherzo, naprędce w dni kilka ułożone i wystudyowane na 2 fortepiany z panną M. Peschke; dalej trzy ustępy z 2go Tria, z p. Schultz na skrzypcach i p. Goebelt na wiolonczeli; nakoniec Scherzo na sam fortepian, Okerthal, czyli wspomnienie z Harzburgu i Kaprys z motywów Roberta diabła Meyerbeera. Prócz tego zaśpiewała panna Graetz arją z Rigoletto i Walca z Fausta.

Zaszczuple na dziś ramy Tygodnika nie pozwalają nam szczegółowo rozpisywać się o każdym numerze. O kompozycjach Litolffa możnaby pisać całe tomy, tyle tam wielkich pomysłów, tyle harmonii nowej, taka ścisłość i piękność formy, taka śmiałość w ich oddaniu. Litolff jest symfonistą par excellence; orkiestra i polifonia, to jego żywioł. Dlatego użycie fortepianu najczęściej u niego jest orkiestralne i ztąd pochodzi że czasem zawiele od instrumentu tego wymagając, zatracą efekt fortepianowy. Artysty, czującego potęgę pomysłu i zapał mistrza, nie razi to wcale, na profana jednak często oddziaływa niekorzystnie. Litolff przy fortepianie, to okręt rozbujany falami poruszanymi burzą morską, i mimo mechanizmu olbrzymiego i wytrwałości żelaznej jego palców, częstokroć nie może wydołać rozbujającej swęj fantazyi. Antoni Kątski i Ole Bull więcej panują nad sobą; u nich instrument gra pierwszą rolę i nigdy fantazyja nie bierze góry nad mechanizmem.

O ile kompozycje Litolffa zyskują odgrywane przez drugich, najlepszym było dowodem Adagio i Scherzo z 4 koncertu, odegrane na dwóch fortepianach przez kompozytora i pannę M. Peschke. Kilkakrotnie już słyszeliśmy te ustępy grane z orkiestrą przez samego autora, ale przyznajemy iż nigdy tyle piękności w nich nie odkryliśmy, jak tym razem, i szczerze wdzięczni jesteśmy panie Peschke za przyjemność jaką nam tém odegraniem sprawiła.

Litolff wraca ztąd do Paryża. Z żalem go żegnamy, a wrażenie jakie na nas sprawił uwerturą z Żyrodystów, 4tym swym Koncertem i Triami, długo zostanie nam w pamięci.

Nie możemy tu także pominąć choć małej wzmianki o fortepianach dostawionych na koncert z fabryki pana A. Hofera. Piękność i doniosłość ich tonu ogólne wywołały zadowolenie.

Ole Bull dwa razy wystąpił w teatrze Wielkim, t. j. we środę d. 8 i w sobotę d. 11 maja. Oba te wystąpienia nie odbywały się w międzyaktach, lecz były to koncerty całkowite. Zaczynała orkiestra uwerturą, na pierwszym z „La chasse du jeune Henri“ Mehula, na drugim z „Wilhelma Tella“ Rossiniego; wśród koncertu zaś oba razy odegrała z werwą ów znakomity utwór Litolffa, uwerturę z Żyrodystów, która na pierwszym koncercie taki wywołała entuzjazm w słuchaczach, iż spostrzegłszy autora siedzącego w głębi łoża na 2giem piętrze, nie ustawała w okazaniu zadowolenia, dopóki znakomity artysta, wychyliwszy się nie podziękował jej ukłonami. Były i śpiewy. Na pierwszym koncercie śpiewali panna Kwiecińska z panem Ziółkowskim duet z „Napoju“ Donizettego, a w drugiej części pani Dowiakowska kawatinę z „Makbeta“ Verdego; na drugim zaś wystąpiła panna Graetz z arją z Rigoletto Verdego, a pani Dowiakowska z kabaletą z „Jerozolimy“, także Verdego. Ole Bull grał na każdym z tych wieczorów po 4 numera. Na pierwszym słyszeliśmy koncert Paganiniego z Es dur, potem z własnych kompozycji koncertanta „Siciliana e Tarantella“, następnie „La prière d'une mère“ Adagio religioso, a nakoniec „Karnawał wenecki.“ Na drugim wieczorze wystąpił wyjątkowo z własnymi kompozycjami. Wykonał swój koncert z A dur, fantazją norweską „Saeterbesock“, Polacca guerriera, a w końcu znów Karnawał wenecki.

Już przed laty wielu, kiedy Ole Bull pierwszy raz

się pokazał Europie, uważano go, po Paganinim, za największego skrzypka. Zdaniem naszym, pod względem wykonania, pozostał nim do dziś dnia. Trudno sobie wyobrazić pewniejszego smyczka i większej łatwości władania nim; zdaje się jakby jego skrzypce o parę oktaw więcej posiadały tonów, tak zręcznie używa flażoletów; arpedžia, gamy i pasaże jak perełki się sypią. Patrzącemu na niego zdaje się to wszystko niezmiernie łatwe i naturalne, i tylko znawca dostrzedz może, ile tam trudności pokonanych. Mechanizm skrzypcowy w ogólności niezmiernie teraz daleko jest posunięty, więc niejednym ze skrzypków i te trudności wygra, ale wątpimy czy zagra. Przy tém wszystkim ton jego jest pełny i aksamitny, odcienia od fortissima do pianissima najdoskonalsze, a cała gra w wysokim stopniu dramatyczna i obrazowa. Ze wszystkich numerów najwięcej nam zrobiły przyjemności koncert Paganiniego i dodane po każdym programie etudy na same skrzypce. Nie mieliśmy szczęścia słyszeć Paganiniego, ale z odebranego tu wrażenia sądzimy, iż lepiej i piękniej grać nie mógł. Z własnych kompozycyj koncertanta najbarzidziej nam się podobały Tarantela i Karnawał wenecki, który odegrany z tą doskonałością do jakiej Ole Bull skrzypce doprowadził, daje śliczny obrazek życia karnawałowego włoskiego. Jest to więc może komika muzyczna, ale zręczna i artystyczna.

Ole Bull wraca ztąd do kraju rodzinnego, do Norwegii, ale wspomnienie jego wysokiej gry długo między nami pozostanie.

E. Kania.

ŻYCIE ZA ŻYCIE.

Powieść

Walery Morzkowskićj.

(Dalszy ciąg).

LIST V.

Jan do Edwarda.

Nie piszesz mi nic o sobie, Edwardzie, listy twoje są rzadkie i zwężte, a jednak dochodzące wieści zaczynają mnie niepokoić. Wiem iż zażądałeś znacznej sumy od swego bankiera z Krakowa, wiem że kupiłeś jakąś wieś w Karpatach i że w niej osiadłeś na czas jakiś, ale nie robię ci uwag w tym względzie. Majątek pozwala ci dogadzać fantazjom nawet. Pozwól mi się jednak zapytać o coś więcej. Słyszałem że się starasz o rękę księżniczki Idalii. Czy to prawda, Edwardzie? Dotąd głównym czynnikiem życia twego była miłość, dotąd szafowałaś sercem. Ale dzisiaj stawiasz na kartę więcej daleko, stawiasz przyszłość całą.

Czy zastanowiłeś się nad nierównością położen socyalnych? czy zważyłeś te drobne na pozór, a w gruncie ważne bardzo, dzielące was zapory? Księżniczka jest sierotą; tém gorzej dla ciebie. Każdy będzie się czuł w prawie walczyć przeciw tobie. Czy wiesz jakim imieniem świat, nie wierzący w czystość uczuć, nazwie miłość twoję? Czy ona sama zawierzy ci jak powinna, oceni jak tego wart jesteś? Czy nie dojdą do niej poszepty świata.

A gdyby nawet i to nie było, jej rodzina, jej towarzystwo odepchnie cię i zranić potrafi. Jeśli nie serce, to duma twoja cierpieć będzie, a duma, to także wybitny rys charakteru twego. Nie umiesz, nie umiałeś nigdy ugiać hardego czoła; dzieckiem jeszcze z zaciętymi ustami gotów byłeś znosić wyrzuty i kary, prędzej niż upokorzyć się przed kimkolwiek, lub zniżyć do tłumaczenia, do prosby.

Znam ciebie, znam świat w który wchodzisz niebacznie, a serce moje przeczuwa, że spotkasz tam boleść. Nie taką przyszłość chciałem ci zgotować.

Ale próżno: nie zmienię upodobań twoich, nie przeinaczę faktów. Pamiętaj tylko, że społeczeństwo jest nieubłagane dla ludzi tobie podobnych, nie umiejących schlebiać podłości, oddawać pokłonu bogom fałszywym i zmieniać zdania za lada wiatru powiewem. Nie wyzywaj niebacznie tej hydry stulejczynej, która zwykle rzuca się na wszystko co nad nią góruje. A jeśli los już rzucony, jeśli kochasz niezmiennie i w zamian jesteś kochanym, to posłuchaj rady mojej: żeń się jaknajspieszniej. Rada ta wyda ci się może szorstką i prozaiczną, ale doświadczenie nauczyło mnie, że powszednie koleje

są jedyną zbawczą przystanią od burz i niepokojów dla wyższych indywidualności, że to jedyna obrona samoistnych jednostek przed nieubłaganie niwelacyjnym społeczeństwem.

Może uśmiechniesz się dumnie z tych słów moich. Daj Boże by ci one nigdy nie powróciły do myśli w gorzkich chwilach życia. Daj Boże by siły twoje sprostały sercu.

LIST VI.

Pani du Barlette do hrabiego Herakliusza.

Panie hrabio!

Od czasu wyjazdu pana hrabiego zasły okoliczności tak niespodziewane, że czułam się w obowiązku donieść mu o ważnych zmianach, tak w cichém życiu naszym, jak w usposobieniu księżniczki. Pisałam w tym względzie kilka razy już do pana hrabiego, ale listy moje pozostały bez odpowiedzi i zapewne nieszczęśliwym trafem nie doszły przeznaczenia swego. Muszę więc tutaj pokrótce przebieść fakta o których już donosiłam i sięgnąć aż do przeszłości.

Przez całe życie wpływ mój na wychowanie moje był bardzo mały. Idalia od dzieciństwa pilna i posłuszna, miała jednak w naturze swojej coś niepodającego się zupełnie memu kierunkowi; nigdy nie sprzeciwiała mi się w niczem, ale też i nigdy nie poszła za radą moją. Matka nieledwie rada była z tego, a ja przyjechałam za zasadę nie wywoływać próżnych starć i czekać aż przyjdzie wiek rozsądku, ciesząc się nadzieją, że wówczas księżniczka odda mi sprawiedliwość, że zyskam sobie jej ufność. Tymczasem inaczej się stało. Charakter Idalii wyrabiał się coraz odrębniejszy, że nie powiem dziwny. Ostatnia wola zmarłej matki pozostawiła mnie przy niej, do czasu pójścia za mąż lub połoletności. Idalia szanuje i spełnia wolę ubóstwianej matki; nie mogę uskarżać się na nią, jest dla mnie pełna względów i szacunku, tylko zostawia mi zupełnie bierną rolę, nie zwierza mi myśli ni zamiarów swoich, a nawet w ostatnich czasach zupełnie lekceważyła moje przedstawienia, właśnie w okolicznościach które zmuszają mnie udać się do pana hrabiego; bo w każdym razie nie chcę by na mnie spadała odpowiedzialność za to co stać się może.

Zaraz po śmierci matki, jak to panu hrabiemu wiadomo, księżniczka osiadła w Maniowie, tak dla przepędzenia w wiejskiej ustroni czasu żałoby, jak i z porady lekarzy, którzy znajdowali że świeże górskie powietrze wyrwie zbawienny wpływ na jej wątłe zdrowie, zachwiane doznana stratą. Księżniczka pragnęła samotności więcej niż zwykle (oddawna zauważyłam w niej tę skłonność, nienaturalną w młodej osobie) i przepędziłyśmy tu kilka miesięcy, nie widząc prawie żywego ducha, bo prócz kilku osób z rodziny, które odwiedzały nas z rzadka, nie chcieliśmy mieć żadnych ze światem stosunków. Jedyną rozrywką Idalii była muzyka, książki i dalekie wycieczki w góry. Nie sądzę jednak by nudziła się kiedy, i owszem, cera zdrowia wracała na jej lica, względna wesołość do myśli. (Wesołą także od dzieciństwa nie była nigdy, uciekała od gwarnych zabaw i lubiła marzyć samotnie. Nieraz robiłam jej w tym względzie przedstawienia, ale z żalem dodać muszę, daremne).

Dopiero po wyjeździe pana hrabiego zauważyłam w księżniczce większą skłonność do zamyślenia. Daremnie pytałam o powód, nie odebrałam zadowolającej odpowiedzi. Po kilku dniach przybył do nas z Krakowa książę Seweryn i ze zwykłą sobie lekkomyślnością zaprezentował księżniczce jakiegoś Edwarda S., naszego najbliższego sąsiada, muzykadytanta.

Zadziwiło mnie to, jednak nie śmiałam objawić nieukontentowania i tylko starałam się zasięgnąć wiadomości o tym młodym człowieku. Dowiedziałam się że kupił on Widnę, wioskę najbliższą Maniowa leżącą, przed kilku dniami, niezmiernie gwałtownie, zapłacił co chcieli i natychmiast w niej zamieszkał. Zwróciło to moją uwagę, témbardziej że księżniczka, której zwykle obejście z nieznanymi jest chłodne, przyjęła go z serdecznością i pomieszaniem i zezwoliła, nie pytając nawet o zdanie moje, na coraz częstsze odwiedziny. Muszę oddać sprawiedliwość temu młodemu człowiekowi, że jest światowy i wykształcony, ma ujmującą powierzchowność, posiada przytém znakomity talent muzyczny; ale jakkol-

wiek gra jego mogła sprawiać przyjemność Idalii, nie upoważniało jej to jednak do przyjmowania go na stopie nieledwie poufałej. Zwróciłam na to jej uwagę, lecz odpowiedziała mi z niezwykłą stanowczością, że ma prawo przyjmowania kogo jej się podoba, i w zamian zapytała mnie wręcz, czy wiem co złego o tym młodym człowieku.

Opowiedziałam jej wówczas, w jakich okolicznościach zamieszkał on Widnę; ale wiadomość ta wcale jej nie zadziwiła, owszem, słuchała mnie z jakimś cichym uśmiechem, że źle ukrytém zadowoleniem, jakby te szczegóły sprawiały jej radość.

Próbowałam wtedy przedstawić jej niestosowność tego postępowania w oczach świata, nierówność położenia towarzyskiego i samotność naszą, która tym odwiedzinom dawała pewną doniosłość. Ale niestety, że żalem wyznać muszę, że księżniczka ma dziwaczne pojęcia o niektórych rzeczach, wpojone jej, jak to panu hrabiemu wiadomo, przez nieboszczkę księżnę Amelią, której ekscentryczny testament upoważniał córkę nieledwie do lekceważenia całej rodziny, w najważniejszej sprawie życia, bo w wyborze małżonka. Nic więc dziwnego, że przełożenia moje żadnego nie odniosły skutku. Wówczas to pisałam do pana hrabiego. Ponawiałam uwagi moje kilkakrotnie, z coraz widoczniejszą niecierpliwością Idalii, niecierpliwością która tutaj objawiła się po raz pierwszy w życiu i zadziwiła mnie, jako ważny bardzo symptomat stanu jej umysłu, bo lękam się wyrzec serca.

Lękam się czy nie pokochała tego młodego człowieka, a im więcej zastanawiam się, témbardziej smutny fakt ten nie zdaje mi się podpadać wątpliwości.

Co do tego młodego człowieka, nie mam jeszcze ustalonego przekonania. Księżniczka jest tak piękną, że może dla siebie samą być pokochaną; ale z drugiej strony jest to jedna z najświetniejszych partyj w całym kraju. Człowiek zręczny mógł korzystać ze szczęśliwych okoliczności, z niedoświadczenia i rozbującej wyobraźni młodej osoby, by zawładnąć jej sercem, ręką i majątkiem.

W każdym razie ja niczemu przeszkodzić nie mogę i sądzę że jest moim obowiązkiem znowu udać się do pana hrabiego, jako najbliższego krewnego i opiekuna Idalii, prosząc go o rychły przyjazd, lub, co by najlepiej było, o zabranie księżniczki z tego miejsca, gdzie samotność, rozmarzenie i bliskość sąsiedztwa wpływać może coraz bardziej na rozwój tak niestosownego uczucia.

LIST VII.

Hrabia Herakliusz do pani du Barlette.

Wiadomości niespodzianie udzielone mi przez panią, są ważne i niepokojące, chociaż chcę przypuszczać że jej troskliwość o wiele przesadza niebezpieczeństwo. Nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności pierwsze listy o poznaniu przez Idalią improwizowanego sąsiada, zastały mnie w tak smutnym stanie zdrowia w Paryżu, iż nie mogłem ani ruszyć się z miejsca, ani jakimby sposobem zaradzić złemu. Teraz powtarzasz mi pani też same i coraz groźniejsze wieści.

Znając usposobienie mojej pupilki i porównyując je z usposobieniem matki, do której niestety tak bardzo jest podobną, sądzę iż nietafnie postąpiłaś pani, robiąc jej kilkakrotne przedstawienia. Skutek zresztą najlepiej tego dowiódł. Są charaktery, które buntują się przeciw rozsądkowi i opatrzone jakimś wywrotnym punktem widzenia, często upór tylko nazywają imieniem miłości. Lękam się i przewiduję zarazem, że rozmarzona główka Idalii sądzi się w obowiązku nieledwie koniecznie zadośćuczynić dziwaczny przywidzeniu wyrażonym w testamentie księżny Amelii i zrobić wybrzyk serca młody człowiek który stanie na jej drodze z myślą osiągnięcia ręki, wyda jej się bohaterem powieści, osnutęj dawno w jej wyobraźni.

Wielu zapewne następcy jej się podobnych, i wówczas może oceni wartość tych błędnych rycerzy, goniących za posagiem i położeniem towarzyskiem. Całym szczęściem tego młodego człowieka jest to, że był najpierwszym. Manewra jego muszą być zręczne bardzo, tém więcej jeśli dla okraszy dorzuca do nich szczyptę prawdziwego uczucia, które Idalia jest w prawie obudzić.

W każdym razie podobnego przeciwnika lekceważyć nie można i jaknajspieszniej pomyśleć należy o zerwaniu tego stosunku; ale to już pozostawiam sobie.

Kto wie, może ta sielanka na złe nie wyjdzie. Była ona konieczną w moralnym rozwoju Idalii. Może po tym wybuchu egzaltacji i niepodległości, pojmie lepiej warunki życia i powolną okaże się dla mnie, który tylko pragnę jej szczęścia, prawdziwego szczęścia.

Tymczasem nie sprzeciwiaj jej się pani w niczym. Jest rzeczą ważną bardzo, by nie podejrzewała koło siebie żadnej systematycznej niechęci dla człowieka który zajął jej wyobraźnię. Ja w najkrótszym czasie będę się starał przybyć do Maniowa, osądzę co uczynić wypada i postąpię według okoliczności.

LIST VIII.

Edward do Albiny.

Stało się: pierwszy cień padł na szczęście moje, pierwszy raz świat zewnętrzny wmieszał się pomiędzy mnie a Idalią.

Wczoraj, jak zwykle, spędziłem wieczór w Maniowie. Przyniosłem właśnie Idalii muzykę mego układu do włoskiej poezji, którą lubiła powtarzać, a której myśl przypadała dziwnie do jej tęsknej i marzącej duszy:

Non chiamar mi tua vita,
Non chiamar mi tuo cor.
La vita passa, scorda il core,
L'anima sola mai non muore
E soffre per l'eternità.

Idalia śpiewała; jam siedział obok niej, chwytając w powietrzu srebrny dźwięk jej głosu, gdy powtarzała melodię moją.

Byłem rozmarzony, byłem szczęśliwy, jak dotąd nigdy w życiu; w sercu człowieka są takie zenitowe, że tak powiem, chwile, po których nastąpić musi reakcja bólu. Ale ja wtenczas nie umiałem myśleć o bólu. Przeczuwać nieszczęście, jest to już cierpieć. Ja byłem szczęśliwy, zupełnie bezmyślnie, szalenie szczęśliwy!...

Idalia przestała śpiewać, wstała od fortepianu i wzięła książkę, wskazując mi miejsce obok siebie. Zaczęła czytać głośno jednego z ukochanych poetów swoich. Ja słuchałem nie słów, które znałem, które może nie wpadały do rytmu mego ducha; patrzyłem na jej usta poruszane słowami, na pierś podnoszoną oddechem, na oczy które chodziły po książce, a często odwracały się od niej i zatrzymywały na mnie.

I duch mój miękł, roztapiał się w otaczającej atmosferze; zapomniałem gdzie jestem, co robię; z nawpół przymkniętymi oczyma marzyłem, jak się marzy kiedy się kocha szczęśliwie.

Nagle trąbka pocztowa ozwała się w oddali. Zadrżeliśmy oboje; wszystko cokolwiekby nas spotkało, mogło tylko przynieść nam smutek, ocknienie, a szczęścia nic już powiększyć nie było zdolnym. Chwilę łudziliśmy się nadzieją, że ten dźwięk świata nas ominie; ja znów przymknąłem oczy, Idalia czytała dalej. Ale daremnie: trąbka odzywała się coraz bliżej, a na dziedzińcu tuż przed gankiem rozległ się turkot powozu.

— Kto to przyjechał? spytała Idalia wchodzącej du Barlette.

— Nie wiem, odparła zagadniona, zabiierając miejsce pomiędzy nami, ale dowiemy się zaraz.

Przeklinałem w duchu przybywającego, i gdyby Idalia wiedziała co to przekleństwo, lub nawet złe życzenie, sądziłbym iż przeklinałaby go także.

Tymczasem szybkie kroki rozległy się w obocznym pokoju i do salonu wszedł mężczyzna lat może trzydziestu kilku, starannej powierzchowności, wykwintny, światowy.

Na jego widok Idalia powstała i postąpiła aż ku drzwiom, witając. On wziął obie jej ręce skwapliwie, ścisnął je w swoich i nachylał się ku niej, pocałował ją w czoło, niby z rodzajem ojcowskiej czułości. Ale mnie się zdało jednak, że pocałunek ten był zadługi; dotknął mnie jakby rodzaj święto-

kradztwa. Odczułem go na mojem czole, niby dotknięcie gorącego żelaza.

Idalia nie rozumiała tego; twarz jej nie przybrała żywszej barwy, nie zmieniła wyrazu, gdy z obojętnością marmuru poddawała czoło ustom jego. Znać był to zwyczaj przyjęty dawno, może od dzieciństwa, i spokojna, niez mieszana, czyniła zadość obowiązkowi gospodyni domu.

— Pan Edward S., rzekła przedstawiając mnie nowoprzybyłemu. Hrabia Herakliusz, mój opiekun.

Hrabia oddał mi ukłon, z właściwą sobie swobodą i wdziękiem, i siadając obok Idalii, z uprzejmym uśmiechem zwrócił do mnie rozmowę.

Teraz przyjrzałem mu się bliżej. Twarz jego miała rysy regularne i na pierwsze spojrzenie można ją było nazwać piękną bardzo. Ale na pierwsze wejście tylko. Później wydawała się ona sztywną, jakby wystygłą; powlekała ją żółto pergaminowa barwa, niewiadomo czy za sprawą wieku, namietności, czy choroby, bo twarz ta była nieporuszoną jak maska lodowa. Przeszłości i wewnętrznej wartości człowieka, jak z maski, odgadnąć było niepodobna. Na pierwsze wejście wydawał się on młodszym, lecz trudno było określić wiek jego, bo znać rozpaczliwą staczał walkę z czasem. Przy rozpatrzeniu jednak nieufność brała do tej twarzy; zdawało się że wszystko w niej sztucznym być może, jak ten uśmiech przystygły do ust spłowiłych, który nie rozjaśniał mu twarzy, nie odbijał się w oczach. Wzrost jego był więcej niż średni, ręka biała, pieszczona, nieledwie kobięca. Gęste czarne faworyty z angielska obejmowały mu policzki i pokrywały ich zapadłość, ale kolor ich martwy zdradzał użycie farby.

(Dalszy ciąg nastąpi)

Przegląd polityki zagranicznej.

17 maja.

Depesze zeszłego tygodnia zawiadomiły już o pokojowym rezultacie obrad konferencji londyńskiej; obecnie podać możemy niektóre szczegóły, według oświadczeń urzędowych. W dniu 13 b. m., na posiedzeniu ciała prawodawczego w Paryżu, margrabia de Moustier, minister spraw zagranicznych, udzielił zgromadzeniu objaśnienia dotyczące kwestyi luksemburskiej. Rząd francuzki, dbały o bezpieczeństwo swych granic, oddawna miał na uwadze obecne położenie Luksemburga i uważał za konieczne usunąć terażniejszy stan rzeczy w jakibądź sposób. Minister oświadczył dalej, że rządowi cesarskiemu nie chodziło bynajmniej o konieczne przyłączenie Luksemburga, lecz o usunięcie niebezpieczeństwa grożącego Francji od 1815 r., przez ustanowienie fortecy wysuniętej ku samym granicom. Cel ten dopiętym został, przez podpisanie w Londynie traktatu, którego treść rząd podał do wiadomości publicznej, natychmiast po wymianie ratyfikacji. Tymczasem margrabia podał główne punkta traktatu, następującej treści: 1) Wielki księstwo luksemburskie uznane jest jako państwo neutralne, pod rządem dynastyi orańskiej i gwarancją zbiorową mocarstw podpisanych na traktacie, oprócz Belgii, która jest sama państwem neutralnym. 2) Miasto Luksemburg przestaje być fortecą, wielki książę zaś obowiązany jest utrzymywać ilość wojska potrzebną dla wewnętrznego porządku. 3) Król pruski oświadcza, iż wojska jego opuszczą fortecę natychmiast po wymianie ratyfikacji, współcześnie zaś rozpoczną wywóz zapasów amunicyi i t. p. 4) W czasie wykonania ewakuacji, taka tylko liczba wojska pruskiego pozostanie w twierdzy, jaka jest potrzebną do ubezpieczenia wywozu materiałów wojennych. 5) Wielki książę wyda rozporządzenie, zamieniające twierdzę tę w miasto otwarte i zburzy niektóre forty zaraz po wyjściu załogi pruskiej, z uwzględnieniem interesów ludności. Po takim rezultacie powtarzać pogłoski o ciągłym zbrojeniu się Francji, uważamy za niewłaściwe. Uzbrojenia te prowadzą się rzeczywiście, lecz wywołane zostały ubytkami z powodu wojny meksykańskiej i podobno nieco opieszalym zarządzeniem poprzedniego mi-

nistra wojny. Co do szczegółów rozpraw jakie zaszyły na posiedzeniach konferencji, to jakkolwiek szpalty dzienników zagranicznych przepelnione są sprawozdaniem, zaznaczyć wszakże wypada iż dotąd nikt urzędowych protokółów nie ogłosił i że tym sposobem sprawozdania po części muszą być błędne. Po zawarciu pokoju, Paryż oddaje się wystawie z podwójnym zapalem, zwłaszcza iż za dni kilka nastąpi zjazd dostojnych osób i doda francuzkiej stolicy niezwykłego blasku.

Pojutrze nastąpić ma otwarcie posiedzeń rady państwa w Wiedniu, przyczem sam cesarz Franciszek Józef wygłosi mowę tronową, której projekt dowiódł do Pesztu p. Beust. Dzień koronacji węgierskiej nie jest ściśle jeszcze oznaczonym, tak dalece iż gdy jedni zapowiadają tę uroczystość na dzień 10 czerwca, inni odkładają ją do końca lipca. Przyczyną takiego spóźnienia ma być kwestya kroacka i niepewny stosunek Kroacyi do Węgier. Dla zyskania sobie Kroatów, gabinet austriacki zatwierdził im prawo nietykalności posłów, wątpić wszakże można aby ustępstwo to skłoniło ich do przyjęcia stosunku narzuconego im przez Węgry. Według dzienników wiedeńskich, prezesem rady państwa mianowany będzie p. Giskra, a poseł Ziemiałkowski wice-prezesem. Oprócz tego spodziewają się niektórych zmian w ministeryum, dzienniki bowiem wiedeńskie utrzymują, że hr. Alfredowi Potockiemu ofiarowano ministeryum rolnictwa. Z Berlina donoszą, że hr. Edmund Taczanowski, szambelan dworu pruskiego, członek izby panów, zmarł nagle w powozie w dniu 10 b. m. Zmarły odznaczał się dobrymi uczynkami, był fundatorem różnych szpitali i t. p. i powszechnie jest żałowanym.

Według wiadomości odebranych z wyspy Kandyi, Omer-basza z 16,000 wojska zamierzał napaść u Sfakii na powstańców. Wojska tureckie o tyle są silniejsze liczbą od Greków, iż wierzone powszechnie w konieczne przytłumienie powstania. Tymczasem depesza z Korfu z dnia 10go b. m. donosi, że pod Sfakia Omer-basza dwa razy napadł na Greków, w d. 4 i 5 b. m., i że za każdym razem odpartym został za znacznych stratami. Powstańcy greccy zagłosowali tymczasową konstytucją i powierzyli władzę, do czasu przyłączenia do Grecyi, gubernatorowi Dymitrowi Maurocordato, byłemu deputowanemu izby ateńskiej. Mówią że książę serbski zawarł z Portą traktat (?), według którego obowiązuje się pomagać jej swém wojskiem w razie wojny, sułtan zaś odda księciu serbskiemu zarząd nad Bosnią i Hercegowiną. Komendantem twierdzy belgradzkiej mianowany został adjutant księcia serbskiego, major Krizanin. W témże mieście spodziewają się wkrótce przybycia księcia czarnogórskiego. Według depeszy z Konstantynopola z dnia 14 maja, Ali-basza otrzymał stopień feldzejgmeistra, a Lurfet-basza posadę ministra handlu.

Ostatnie depesze. Londyn, 16 maja. Dziennik Globe utrzymuje, że Anglia ma zamiar zaproponować mocarstwom, szczególnie zaś Francji i Prusom, ogólne rozbrojenie.

Paryż, 16 maja. Etendard pisze, że Anglia wraz z innymi mocarstwami wysłała notę do Turcyi, celem wykazania niebezpieczeństwa grożącego temuż państwu, z powodu rozlewu krwi na Kandyi.

New York, 4 maja. Według ostatnich wiadomości z Meksyku, cesarscy pobici zostali pod Queretaro przez Porfirio Diaza. Miramon zginął. Cesarz Maksymilian ratował się ucieczką.

Wiedeń, 14 maja. Słychać że hr. Potocki przyjął ministeryum rolnictwa.

Kolonia, 14 maja. Król włoski otrzymał zaproszenie od cesarza Napoleona i jedzie do Paryża, gdzie spotka się z cesarzem Franciszkiem Józefem.

(W. T. B. Schles. Ztg. France. Ind. Bel. Jour. d. Deb.)